

PISMO DLA RODZIN.

№ 4. Warszawa, dnia 16 (28) Stycznia 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „.	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy: w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

„POBOŻNE ŻYCZENIA"

Kwestyja pracy kobiecej, wchodzi obecnie na pole powszechnej uwagi, wszystkie niemal organy prasy peryjodycznej zajmują się nią bardzo gorąco. Każde, większe czy mniejsze kółko towarzyskie, rozbiera, czem była, jest i być może, kobieta. Jedni naznaczają jej miejsce równe mędrcom i filozofom świata, inni odmawiają jej wszystkiego wychodząc z zasady, że nawet trochę wyższa nauka jest zbyteczną, bo czyż kobieta ma czas uczyć się i czy ma po temu zdolności?

Zostawmy te ważne kwestyje wielkim myślicielom i przeciwnikom równo uprawnienia kobiety; a zwróćmy uwagę na kobietę jako: obywatelkę kraju, panią domu, i jej dorosłą córkę na wsi, czem się trudnią i jaki cel kobiety postawiony na tem stanowisku.

Tradycyja niesie, że prababki nasze, inaczej czas przepędzały aniżeli dzisiejsze nasze panie. Dawniej kobieta wysokiego nawet rodu, której mąż rozumem podtrzymywał chwiejący się nieraz porządek kraju, otoczona gronem dziewic przędła biały len, i wyrabiała cieniuchne płótno za które nie szły jak dziś tysiące do obcych krajów; a lato dostarczało mnóstwa przedmiotów do jej zatrudnień i zabawy; apteczka bogata w wyborowe przysmaczki, zapowiadała wykwintny smak i gust gospodyni, i na uraczenie gościa nie trzeba było sprowadzać zamorskich łakoci. W razie zaś choroby którego z domowników zabiegła dziewica rozdzielała potrzebującym zioła i leki z macierzyńską troskliwością. Nic też dziwnego że szanowano kobietę i nikt jej nie zarzucał że się wdziera w prawa swych braci i mężów, bo miała tyle pracy domowej, cichej, że nie miała czasu pomyśleć, o potrzebie wyższej edukacyi: o potrzebie wyrwania się z za ciasnych dziś ścian jej chatki, o potrzebie wystąpienia, samodzielnie na pole pracy, często nie odpowiedniej dla kobiety.

Czasy się zmieniły! Kobieta dzisiejsza inne ma pragnienia, inne zatrudnienia; lecz jakież to one są, te zatrudnienia dzisiejszej kobiety! Obywatelka—pani kilku lub jednej wiosek, nie ma nawet czasu myśleć o przędziwie i apteczce, tem się zajmują: gospodyni i kucharz. A ona może dzieci wzięła pod swoję opiekę? Nie, na to ma bonę cudzoziemkę i guwernantkę płatną; igłę, zostawiła dla szwaczki bez której w domu nie podobna się obejść, to może porządek domowy ją zajmuje? Ten zostawiono lokajowi. Ogród urządzony *a l'anglaise* utrzymuje ogrodnik cudzoziemiec.. Cóż więc zostawiono dla samej pani? czem się zajmuje ta szczęśliwa istota? oto niczem, bo wszystko rozdała płatnym najemnikom, nawet święty obowiązek nauczenia swej córki pierwszych zasad religii, chrześcijańskiej miłości i zamiłowania do pracy wyższej naukowej, przynoszącej pożytek społeczeństwu oddany obcym. A gdy ta córka dorośnie wreszcie pod okiem tej matki zajętej li tylko sobą, w towarzystwie zmienianych, coraz z innemi fantazyjami nauczycielek, przeczytawszy parę romansów treści lekiej, rozmarzona, pasowana na dorosłą pannę, dziewczyna, widzi swe szczęście albo w wymarzonym przy świetle księżyca kochanku, albo w czterech koniach i pięknej karecie!... wreszcie w domu, w którym będzie jej wolno rozkazywać i całe tygodnie nic nie robić. Cel szczęścia i marzeń!.. Lecz czy pomyśli że zajmując stanowisko obywatelki winną jest znać jej obowiązki?. oto bynajmniej się nie troszczy, to się znajdzie potem, ma dobre ułożenie, dystynkcyją, tonik pański, będzie umiała urządzić się w domu jak na panią w jej stanowisku przystało?!. I ze zgrozą spogląda na swoję z lat dziecinnych przyjaciółkę, którą rodzice oddali na pensyją, gdzie trochę więcej słyszała, ba! nawet wpadł jej w rękę numer jakiegoś pisma peryjodycznego, traktującego o emancypacyi kobiet o ich równo uprawnieniu, a przybywszy na wieś rozmyśla, jak by tu okazać się wyższą nad swoje rówieśnice!...Nareszcie, o nieba, różnemi sposobami dochodzi do zrozumianej emancypacyi: widzimy ją na rosłym rumaku, w towarzystwie kilku młodych ludzi, śmiejącą się wesoło i rozmawiającą z niemi przy wonnym dymie papierosa, o filozofii, której nie rozumie, o emancypacyi którą tak pojęła, o równo uprawnieniu, o którem nie ma wyobrażenia, o naukach, które zna zaledwie z nazwiska. Wreszcie rodzice robią małe wymówki że się zanadto oddaje rozrywkom nieprzystojnym płci niewieściej, a że z tego położenia trochę niewygodnego, z potrzeby słuchania rodziców chce się wydostać, nie pomna co ją czeka, oddaje swą rękę staremu sąsiadowi; trochę głuchy, trochę niedowidzi, to właśnie dobry na męża! i dalej prowadzi raz zaczęty bój o wolność kobiety!!... Nie czując że właśnie coraz głębiej zakopują ją w grób

zimnej pogardy!... O obywatelki! o kobiety! czyż to tak dobijać się mamy wolności? czy tak zbierać skarby? minęły czasy kiedy kobiety poświęcały się przędzeniu i tkaniu płócien! dla czego? Czy was to hańbi gdy białą ręką, nić uprzędzoną z własnej niwy, zamotasz na pasma i drobną dziatwę twoję serdeczną odziejesz w płótno, już nie waszą ręką utkane, ale pod okiem waszem? dla czego mając niewyczerpane skarby w lesie polu i ogrodzie i umiejętności w przysposobieniu, szukacie słodyczy dla tej dziatwy i dla gości waszych po wystawnych sklepach miasta? Czemu nie korzystacie z Bożej rosy co spada w dziwnej słodyczy na kwiaty, a pracowitsza od was pszczółka chętnie się z wami swoją pracą podzieli!...

O ty dziewico, która chętnie wydajesz pieniądze na lśniące materyje aby okryć niemi swego konia podczas jazdy, rzuć tego konia, to nie dla ciebie zabawa, proś ojca niech ci da za to kawałek ziemi, a za pieniądze za konia sprowadź tak łatwo u nas rosnące morwy, zajmuj się ich uprawą, odstąp połowę twego wykwintnego pokoju, dla nowych brzydkich mieszkańców, otwórz okna, tym pełzającym pracownikom, jedwabnikom. A gdy matka twoja motać będzie len biały na twoję wyprawę, ty motaj miękki jedwab' na ślubną suknię, wszakże to tak mało kosztuje pracy, tak miła jest rzecz widzieć pracę rąk swoich przynoszącą bogactwo kraju! a wreszcie jakże ci słodką będzie rzeczą odnieść ojcu zapożyczone pieniądze, na pierwsze wzięte potrzeby! O! marząca! o idealna istoto! tęsknisz i czekasz aż zarżą oczekiwane cztery konie przed gankiem. Na czemże spędziłaś dzień dzisiejszy? nad stroikiem, nad pocięciem kilku łokci wstążki, po którą aż umyślnie posłałaś do odległego miasta, chcesz się przyozdobić, bo cię natura nie dość bogato uposażyła, jak utrzymujesz stojąc przed zwierciadłem, i któż ci to zgani? że chcesz być ładną w chwili gdy przyjeżdżają goście; wszak dotąd to twoja broń jedyna. Lecz nie bądź samolubną, nie myśl tylko o sobie; rzuć okiem na otaczające cię w koło młode dziewczęta, które również jak ty chcą wyglądać ładnie; rzuć okiem na matki co chcą przystroić swą dziatwę i czysto ję przyodziać w niedzielę; podziel się z niemi ostatecznie przywiezionemi z miasta drobnostkami toalety kobiecej tak niezbędnemi czy to w pałacu, czy to w chatce rolnika; ona, ta elegantka wiejska, chętnie ci zwróci wydane na te fraszki pieniądze, i zbiorą się naokoło ciebie prosząc o więcej, bo miałaś i gust dobry i taniej kupiłaś jak one, bo się znasz na tem powiedzą!? Czy myślisz że tym handlem jak się dziś wyrazisz ironicznie, dogodzisz im, że dla nich usługę tem robisz?... Spójrz na powstające z ruiny majątki rodziców, podźwignięte tylko tym dobrym gustem dziewczęcia, a ironiczny twój uśmiech, ustąpi zamyśleniu: że, jaka bądź praca przynosi nam korzyść, gdy przeciwnie marzenie zabiera i czas drogi i zdrowie rujnuje, wszakże na początek tej nowej dla ciebie drogi pracy, tak mało, potrzeba zasobów, że sama później się zdziwisz że można zebrać sześćdziesiąt ziarn, zasiawszy tylko jedno i to jak ci się zdaje rzucone w niepewną rolę!..

Są to tylko małe rysy zysków jakie może przynieść dobrze zrozumiana emancypacyja kobiety, a zyski te są równie wielkie dla niej samej jak i dla kraju, którego w tedy prawdziwą się nazwie obywatelką, podnosząc osobistą swą wartość: wszak całość złożona jest z cząstek czyż więc te cząstki nie powinny być szlachetne? nie szlachectwem swych przodków lecz szlachectwem swych myśli i dążeń. Bo i cóż zostawisz swej dziatwie w spuściźnie? Zrujnowany majątek, nieszczególne zdrowie, syna wyślesz wprawdzie w świat, ale córka zostanie i będzie dalej prowadzić sceny zniszczenia i moralnego upadku, pamiętaj że kobieta jest cząstką tej całości, że powinna się starać wszystkiemi siłami do złożenia tej całości bogatej i kwitnącej!..

O obywatelko ziemianko, zostaw cały szereg dawnych marzeń za sobą, weź się do pracy która podniesie twój byt materyjalny, i twą godność moralną! Przebacz gorzkie te słowa ale jeżeli chcemy szczęścia pójdźmyż po nie choćby przez ciernie, jeśli chcemy być zdrowemi wypijmy gorzkie lekarstwo! to będzie dla ciała, a dla duszy? dla serc naszych? Chwilę jeszcze cierpliwości, a i z tego złożę wam maleńki obrazek....

Upadek sił fizycznych spowodował i upadek dusz i serc naszych kobiet. Najprzód chciejmy być tem czego wymaga od nas stanowisko. Dla czego mężowie i bracia nasi mają nad nami wyższość duchową?... Oto, że oddając się np. agronomii czytają i uprawiają te dzieła które do ich zawodu są potrzebne, te znają gruntownie, choć inne nauki nie są im obce jednakże nie studyjują ich, nie trawią napróżno czasu, bo z tego nie wiele odniesie korzyści. Kiedy tymczasem my chętnie czytamy każdą podpadłą pod rękę książkę i wprost przeciwne naszemu powołaniu czytamy w niej myśli, wpadamy na nową drogę, która nam się wydaje świetnością prościejszą i łatwiejszą do przejścia, rzucamy tę, na której już jesteśmy w połowie, i otóż to... niemoc nasza, brak charakteru, a wreszcie bezsilna, bezwiedna, błądzisz w tym labiryncie aby z niego już nie wybrnąć niestety!.. Czemu o ziemianko, pogardliwem okiem rzucasz na dzieło traktujące ogrodnictwo, a chętnie czytasz dzieła podkopujące twoją moralność?... Czemu, młoda idealna matko stojąc nad kolebką twej córki, roisz dla niej świetne zabawy i stroje, roje wielbicieli i nic nie przynoszące talenta? czy, ta twoja jedynaczka, zostanie aż do za mąż-pójścia jedynaczką? i czy majątek wystarczy przy twojem zaniedbaniu na te stroje i zabawy? O! raczej zwróć myśl twą na pracę twego dziecka a gdy zacznie ci szczebiotać, ucz ją że każdy człowiek musi i powinien pracować jakąkolwiek by ta praca była, że chcąc żyć na świecie niezależnie od losu powinniśmy umieć cośkolwiek gruntownie, niech by to była najprostsza w świecie praca, a pojęta i zrozumiana stanie się nam przyjemną bo na niej oprzemy nasz byt, szczęście, los! nie wyciągając ręki po jałmużnę, do świata aby nam dał opiekuna, żywiciela, jednem słowem męża i pana!. Przy tej raz obranej gałęzi umiejętności, dość nam zostanie czasu na uprawę i innych nauk tak niezbędnych dla człowieka, zostanie jeszcze dość czasu i na uprawę talentu umilającego życie nasze na wsi! Z takiemi zasobami wiedzy i z gruntownem pojęciem jednego przedmiotu, kobieta, panna, stanie się prawdziwą obywatelką kraju, przewodniczką małego kółka jakie jej się dostanie w udziale, czy sądzicie młode siostry moje, że takie nasze ukształcenie nie podoba się przyzwyczajonym do innego mężczyznom?

Szlachetnie myślący obywatel, prawy członek ludzkości, schyli czoło przed wami i nie same tylko tysiące będą go wabiły, do podtrzymania majątku zostawionego przez Rodziców! Dziś iluż się stara o dźwięk wasz, nie pytając często o wasz wiek i zalety— dobrze o tem wiecie, równie jak i ja lecz czy się do tego przyznacie? O! nie, nie, to uroda twarzyczki, postać wspaniała, głos dźwięczny, sprowadził miłość, i ot mnie wybrał z wielu innych, powiadasz zgłębi serca, lecz jeszcze głębiej i ciszej, szepnie głos: to tysiące brzęczą w szkatule mego ojca! i to szczęście serdeczne zabijasz zimną rachubą twego przyszłego—i podajesz dla tego drżącą od wzruszenia rękę, bo niepewna przyszłość przed tobą? jakże inaczej czułabyś się usposobioną, będąc pewną że nie wyszedłszy za mąż nie tracisz na tem nic.

Jak czułabyś się szczęśliwą wszedłszy do tej małej monarchii, że tam nie gościem, lecz czynnym będziesz robotnikiem, że praca twoja choć drobna na pozór, wielkie przynosi korzyści... A wreszcie ta wielka rozkosz, widzieć równy podział pracy—a po niej w jednem i tem samem zasiąść kółku uczonych i badaczy natury, co, i ukochany twój zasiędzie, o! bo na wszystko czas ci się znajdzie, na wszystko, byle w tem zachować porządek i ład —a całość będzie tak piękna, jak te marzenia co wam się wydawały dotąd najpiękniejszemi, a które niestety! u młodych marzycielek dochodzą tylko do dnia ślubu, i dalej nie płynie czysta myśl, myśl dziewicza choć, po za tym dniem właśnie, znalazłyby przedmiot do marzeń mogący się urzeczywistnić, bo oparty na własnem przeświadczeniu, że tak właśnie będzie prowadzić życie czy to ją los umieści w pałacu czy też w skromnym dworku! Nie sądź czuła i troskliwa o swą córkę matko, że dając jej dzieła nauk wyższych (jeżeli te naturalnie będą tylko prowadzone logicznie) że tem ją zgubisz, że to serce zabija w kobiecie, że dozwalając jej przeniknąć wiedzę, uczynisz ją zimną i samolubną, że gotujesz jej tem dni smutku i troski!—O nie, dla czego, czem lepiej uprawiać ziemię, tem szlachetniejsze wyda owoce! czemu w dziką płonkę zaszczepiony szlachetny owoc, pożądane wyda rezultaty? twoja córka gdy bezsilna leży w kolebce, to właśnie jest tą dziką płonką tą, ziemią nieuprawną co w nią rzucisz to się przyjmie! Uszlachetnisz jej serce, podniesiesz ducha, przez dzieła które nie miały przystępu do jej myśli utorujesz drogę do tego co tak mądrze świat urządził!... Zimną i samolubną nie będzie nauka, nie zabije uczuć, uczucie jak wszystkie myśli potrzebują być wykształcone; samolubstwo nie wkradnie się do jej duszy, bo odbierając sama dobrodziejstwa nauki, tym chętniej się nią podzieli bo chciałaby, aby wszyscy otaczający zbliżyli się do niej duchem i pojęciem, i chętniej ukocha taką istotę która więcej zbliży się do niej pojęciem.— A wreszcie w chwilach smutku troski jakie jej los przyniesie, czyż nie oprze

swej skargi na poddaniu się rozumowi, i czy nie powie sobie: „czy łzy mi powrócą nie powetowaną stratę?..

I otrząśnie się z tej zadumy, w której się pogrążyła i spojrzy w około siebie, że trzeba żyć jeszcze, że to ostatnia jej dotychczasowa opieka skończyła się z wejściem do grobu tej osoby po której płacze... Mężna nauką nie ulęknie się troski, straszna nędza nie błyśnie przed jej oczyma, i silna postąpi dalej a dalej!.. Czyż kobieta ma być zawsze tym chwiejnym bluszczem, co się oplata w około dębu? wprawdzie, dąb powabniej z nim wygląda, ale bluszcz jest przy nim pasorżytem, stroi go tylko i wyciąga zyski, nic za to w zamian nie dając, dąb się niszczy i pada, bluszcz także pada na ziemię, i zdeptany niszczeje razem, lecz biada mu biada, bo stał się przyczyną upadku silnego, i sam zbrukany umiera! A jeżeli dziś więcej bluszczu jak dębów? jeżeli tak dalej niszczyć go nie przestanie, co będzie dalej?... O siostry moje nie bądźmy bluszczem, starajmy się być same sobą silne, i równie w niebo wznośmy czoła dumne jak nasi bracia, stawmy naszę pracę na równi z niemi, aby nam wolno było czasem pomarzyć o tych szczęśliwych wybrańcach losu, których świat koronuje za prace dla wiedzy poświęcone; Lecz pamiętajmy o tem że wszyscy na jednym zagonie siać i zbierać nie możemy! Pamiętajmy że czy z piórem, czy z wrzecionem w ręku, byle dążyć do wielkiego celu zbudowania całości pięknej i szlachetnej, równą będziemy mieli zasługę. A stanąwszy już na ostatnim szczeblu życia, z jakąż wewnętrzną radością spojrzemy za siebie i ujrzemy całość naszych zabiegów, tak piękną. Szczęśliwa, jeżeli na twój grób nie dziesięć lub pietnaście rąk ciśnie garść ziemi, ale cała twoja ziemia której byłaś obywatelką, służyć Ci będzie za pośmiertną mogiłę... Tak... szczęśliwa, bo rzadko patrząc na czyny uznajemy je za szlachetne, dopiero gdy grób się otworzy, otworzą się i oczy współczesnych aby oddać hołd prawdziwej wartości człowieka, obywatela kraju., Oby Bóg dozwolił nam dożyć tych szczęśliwych chwil gdy zawoła ludzkość cała: Oto sypie się mogiła dla kobiety — obywatelki co wraz z mężem pracowała na niwie ojczystej, co zostawiła córce, chlubną nazwę i godny naśladowania przykład! Żyła na to, aby budować, a nie obalać, znosiła do tej budowy cegiełki—gdy nie mogła belek! Cześć Jej cieniom! Córko— tyś nie sierotą, bo masz otwarte każde podwoje— pójdź do nas—i ucz nas życia! Ucz nas— bo my tak mało jeszcze umiemy—a tak wiele, tak wiele nam potrzeba!... *S. P.*

WYCHOWANIE LUDU,

PRZEZ

Emila Laveley'a

przełożył

Ludwik Szteinbok.

(Ciąg dalszy)

Nawet w Stanach Zjednoczonych, w kraju wyjątkowym, gdzie rozszerzaniu się światła po wszystkich warstwach społecznych, sprzyjają zwyczaje, instytucyje demokratyczne, wiekowe tradycyje i wymagania panującej religii, żałują że poszedł w zapomnienie przymus, ustalony przez założycieli państwa. „Znam tylko jeden sposób, mówi publicysta amerykański p. Barnard, aby rozbroić z wrodzonej dzikości obyczajów przyszłą armiję wyborców, których ciemnota szkodzić może naszej organizacyi politycznej i społecznej, jest to wydać prawo ogólne, obowiązujące posyłać dzieci do szkół, co zapewnia wszystkim dobre, moralne wychowanie.“

W Massachuses, mającem za stolicę Boston, owe Ateny amerykańskie, gdzie smak do rozwoju intellektualnego, najwięcej jest rozpowszechniony, przymusowe nauczanie pod nader uciążliwemi karami już zastosowano. Prawo z 30 kwietnia 1862 r. nakłada na wszystkie gminy obowiązek prześladowania włóczęgostwa, a dzieci mające od 7 do 16 lat, a nieuczęszczajace do szkół, skazuje na karę pieniężną 20 dolarów, ciążącą ojców, lub też powagą sprawiedliwości, umieszcza je w zakładach naukowych albo poprawczych. *). Jeden więcej przykład przekonywający, że chociaż to są kraje zupełnie wolne i bardzo zazdrosne o swoje prawa cywilne, nie szanują jednak wolności ciemnoty.

Tym tylko krajom w Europie udało się we wszystkich klasach rozpowszechnić oświatę, w których nauczanie było przymusowe. Te zaś kraje, które odstąpiły od tej zasady, pomimo ciągłych usiłowań władz publicznych, i coraz bardziej wzrastających zasiłków pieniężnych na naukę początkową poświęcanych, nie osiągnęły zadania, które miały na celu.

Aby przekonać o pożyteczności przymusowego nauczania, dość będzie porównać oświatę narodów, które tę zasadę przyjęły, z temi które ją odrzuciły.

Rzućmy okiem na Anglię i Szwecyją, Francyją i Prusy, albo Belgiję i Szwajcaryją, wszędzie znajdziemy też same rezultaty. W jednych krajach pomimo starań i kosztów, oświata nie rozpowszechnia się, w innych zaś jest ona wszędzie rozkrzewioną.

We Francyi naprzykład z przyczyny nieregularnego uczęszczania dzieci do szkół, prawie trzecia część narodu zupełnie jest ciemną, inaczej rzecz się ma w Prusach, nie ma tam prawie wojskowego, któryby nie umiał czytać i pisać, a między uczęszczającemi do szkół, równa jest prawie liczba dziewcząt i chłopców. Wobec więc tych faktów, czyż nie naturalnem jest staranie się usilne o przyjęcie zasady któraby takież same skutki wydała?

---

*). Miasto Boston mianowało 3-ch urzędników obowiązanych przebiegać osobno trzy części miasta. Agenci ci zwani (fruant officers) chodzą ciągle po ulicach i spotkawszy dziecko w wieku szkolnym będące, wypytują o przyczynę, przeszkadzającą mu pójść do szkoły i skłaniają rodziców do posłania je tam. Jeżeli dziecko bardzo jest biedne i nieprzyodziane, odnoszą się wtedy do komitetu dobroczynności, który przeszkodę tę usuwa. Jeżeli to są dzieci oddane próżniactwu i włóczęgostwu i występkowi, starają się wpływać na nich namową, pomocą i radą, a gdy te sposoby nie są dostateczne, umieszczają je na czas jakiś w domu poprawy l'ecole de reforme, nie tak dla ukarania, lecz raczej żeby je uchronić od zgubnych przykładów rodziców, i zrobić obywatelami cnotliwemi i użytecznemi. Ci trzej agenci notują corocznie blizko 3000 wypadków nieobecności.

Pewną jest rzeczą, że ogłaszanie obowiązku uczęszczania do szkół, nie wpłynie na dzieci tak dobrze, jak kiedy to będzie oparte na nacisku opinii publicznej, lub wpływie ministrów oświaty. Kraje protestanckie przedstawiają pod tym względem znaczną wyższość.

Obowiązujące przepisy religii katolickiej, uczęszczania na mszę, spowiedź, nawet nauka katechizmu, w istocie rzeczy nie wymagają żadnego wykształcenia. Zdaje się że można być dobrym gorliwym katolikiem, nie będąc wykształconym, ponieważ narody więcej podległe kościołowi, były aż do obecnej chwili najmniej wykształcone, przynajmniej można powiedzieć, że duchowieństwo katolickie nie widzi żadnej sprzeczności między pobożnością, według niego zadawalającą, a zupełną ciemnotą; bo w krajach gdzie duchowieństwo było panem, jak w Neapolu i w Państwie kościelnem, nic nigdy nie uczyniło dla rozszerzenia oświaty.

Bezwątpienia wszystkie narody reformowane nie są wykształcone, bo Anglię trzeba tu wymienić jako wyjątek; lecz jest rzeczą pewną przynajmniej, że protestant nieumiejący czytać, nie może wypełnić jednego z najpierwszych obowiązków, który religja na niego nakłada.

Duchowieństwo reformowane wprowadziło w praktykę zasadę przymusowego nauczania, i energicznie pomagało Państwu w zmuszeniu do uczęszczenia do szkół, podczas gdy duchowieństwo katolickie, lubo się temu nie sprzeciwiało, przecież podtrzymywało tę zasadę bez żadnej energii.

Istnieje jeszcze inna różnica na którą trzeba zwrócić uwagę. Wychowanie religijne dłużej zatrzymuje dzieci w szkole w krajach protestanckich, jak katolickich, trudniej więc w tych ostatnich, o regularne uczęszczanie do szkoły i ogólne rozlanie się nauki, a dla tej to przyczyny trudniejsze, przytem więcej potrzebne jest tu wprowadzenie przymusowego nauczania, i o to o co gdzieindziej religija się stara, tutaj opinija publiczna powinna to czynić.

Przeciwnicy przymusowego nauczania przedstawiają przymus ten w strasznych kolorach; wyobrażają sobie rodziców prześladowanych przez policyją, obciążanych karami pieniężnemi, zamykanych po więzieniach i pozbawianych zarobku, jaki mogłyby im przynieść dzieci. Lecz nie ulega wątpliwości, że obowiązek rodziców udzielania dzieciom nauki, jest dla nich tak świętym i naturalnym, że trzeba im tylko przypomnieć, przymusić ich z początku, a w krótce przekonamy się, że nietylko go chętnie wypełnią, ale nawet, jak to ma miejsce w Niemczech, za pewną dumę wypełnianie tego obowiązku będą uważali.

Ci którzy ganią przymusowe nauczanie, utrzymują że ten tyrański zwyczaj przymusu, może istnieć w Niemczech w których mieszkańcy oddawna przyzwyczajeni są do despotyzmu, lecz w krajach używających wolności, przymus ten nie mógłby być tolerowanym.

Czyż Szwajcaryja nie zna wolności i czy władza tam daje rozporządzenia despotyczne? Nie—Szwajcaryja jest krajem decentralizacyi i wspólnej niezależności. Cała władza opiera się na głosowaniu obywateli. Głosowanie po-

wszechne daje władze i odbiera je podług upodobania. Otóż państwo chociaż dobrowolnie zrzekło się władzy, wkłada jednak na rodziców obowiązek wypełniania najpierwszej i najświętszej powinności, albo raczej naród sam, nakłada ten zbawienny przymus, nakazany przez prawo natury i własny narodu interes.

Dowiedzione fakta aż nadto przekonywają o prawdzie twierdzenia p. Cousin, że oświata tam tylko może się dostatecznie rozkrzewiać, gdzie jest przymusowe nauczanie. W Niemczech i Szwajcaryi, w Szwecyi, Norwegii i Danii nie ma ciemnoty nie tylko dla tego, że rodzice przymuszani są do kształcenia dzieci, lecz że ogłoszenie zasady silnie działa na władze publiczne, na opiniję na zwyczaje, i wywołuje tym sposobem pewien ruch, prowadzący młodą generacyją do szkół, które od tej chwili powinny być w liczbie wystarczającej.

We Francyi i Belgii mimo dobrych praw i wielkich usiłowań, w Anglii mimo poświęceń rozmaitych stowarzyszeń religijnych, prawie połowa ludności pozbawioną jest wiadomości początkowych, tak potrzebnych obywatelom dzisiejszych społeczeństw. Trzeba więc użyć środka, jaki gdzieindziej, wydał tak dobre rezultaty.

Z tego cośmy powiedzieli, śmiało możemy twierdzić, że państwo ma prawo zmuszać do nabywania nauki, pozostaje tylko obmyślić najdogodniejsze środki, do wprowadzenia tego prawa w wykonanie.

Myśl przymusowego nauczania nie jest nową, datuje się ona od czasów reformacyi. Siłą wypadków wychodząc z krajów protestanckich, weszła do katolickich, lecz nie protegowana tu przez duchowieństwo, została zaniedbaną.

W stanach jeneralnych Francyi w Art: 12 pamiętników szlachty z r. 1560:takie było roznie porządze Opłata z dóbr duchownych winna być pobieaną dla rdobrego opłacania nauczycieli po wszystkich miastach i miasteczkach, a ci mają obowiązek uczyc młodzież biedną całego kraju. Rodzice nie posyłający dzieci do szkół mają być do tego zmuszeni.“

W r. 1571 w stanach jeneralnych Nawarry, te same zasady odniosły zwycięztwo w ówczas kiedy i zasady reformacyi, a Joanna d'Albret uczyniła je obowiązującemi. W r. 1582 szlachta francuzka zaniosła prośbę do Henryka III, z żądaniem kary dla rodziców nieposyłających dzieci do szkół. W r. 1590 Henryk IV otworzył szkoły bezpłatne i jednocześnie wydał rozporządzenie nakazujące Sędziom Królewskim i strożom sprawiedliwości, karać tych, którzy będą się usuwali od obowiązku posyłania dzieci do szkoły. Za Ludwika XIV i XV wychodziły podobne rozporządzenia.

W r. 1583 Parlament Szkocki uchwalił prawo, nakazujące posyłać chociaż najstarszego syna na naukę gramatyki. W Hollandyi od XVII wieku, niektóre prowincyje wprowadziły przymusowe nauczanie (School plegtigheid). Około tej samej epoki w r. 1586 rozporządzenie ogłoszone w Luksemburgu, nakazywało urzędnikom zmuszać dzieci i służących obojga płci do uczęszczania do szkół i karać naczelników rodzin za nieposyłanie ich tam wcale. *)

Rozporządzenie z r. 1630 w Drenthe nakazuje „aby rodzice za każde dziecko które dojdzie do 8-go roku życia, czyby ono uczęszczało lub nie do szkoły, płacili po 15 soldów rocznie.“ Rozporządzenie w d'Over-Yssel z r: 1688, zawiera prawie też same przepisy dodając „chyba gdyby rodzice posyłali dzieci do innych upoważnionych nauczycieli.“

W r. 1607 Konsylium w Malines obowiązującem ogłosiło to wykształcenie, które uznało za niezbędne. „Rodzice biedni, postanawia ono, pod karą pozbawienia wsparcia, drudzy zaś pod innemi karami, będą obowiązani posyłać dzieci do szkoły.“

Dzisiaj przymusowe nauczanie wprowadzone zostało we wszystkich krajach europejskich, wyjąwszy Rossyi, Hollandyi i Belgii. W stanach zjednoczonych jak tylko okazała się potrzeba wprowadzenia tej zasady, przyjęły ją zaraz dwa stany Massachusetts i Connecticont, a domagają się jej wszędzie. W Anglii ostatnie prawo szkolne z r. 1870, upoważniło komitety szkolne do zaprowadzenia przymusowego nauczania.

Londyn i dużo większych miast, również wiele kolonij angielskich. Nowa Zelandyja i wyspa Maurycego **) zrobiły już to samo.

We Francyi prawo z 29 frimaire'a roku II-go zawierało następujące rozporządzenia:

Ojcowie i matki, opiekunowie i kuratorowie, obowiązani są posyłać dzieci swoje lub pupilów do szkół początkowych.

Ojcowie i matki, opiekunowie i kuratorowie, zaniedbujący zapisywać dzieci, karani będą pierwszy raz pieniężnie, w ¼ części przypadających na nich podatków, drugi raz pozbawieniem 10-cio letniem praw cywilnych.

Młodzi ludzie, którzy do 20-go roku nie nabędą jakiej nauki, sztuki lub rzemiosła użytecznego społeczeństwu, pozbawieni będą przez 10 lat praw cywilnych, a tej samej karze podległą ojcowie, opiekunowie i kuratorowie, którym dowiodą, że przyczynili się do przekroczenia tego prawa.“

*). Th. Juste. „Histoire de l'instruction publique en Belgique“ Bruksella 1844. str. 110.

**) W następstwie korespondencyi między władzami miejscowemi wyspy Maurycego a rządem Angielskim, ogłaszane było w r. 1857 następujące prawo „uczynić naukę dzieci w kolonii przymusową.“ „for rendering compulsory the education of bildern in the colony. Napróżno duchowieństwo katolickie starało się stawić temu opór. Biskup Rzymski Collier protestował przeciw temu nakazowi, zaprzeczając mu prawności, i przytoczył zarzut, że w tedy szkoły różnych sekt zależałyby od inspektorów rządu, a dzieci tym sposobem przejmowałyby się błędami religijnemi i nie byłoby ówczas swobody nauki. Urząd kolonii odrzucił wniosek Biskupa, lecz zaproponował zmiany w tem, co dotyczy nauki religii dzieci. Nakaz brzmi żeby chłopcy w wieku od 6 do 12; dziewczęta zaś od 6 do 10 lat mające, zmuszane były uczęszczać do szkoły. Wyjątek mają tu stanowić dzieci mieszkające o ½ mili angielskiej od szkoły i te, których rodzice lub opiekunowie dostarczą przekonywający dowód inspektorowi obwodu, że one odbierają naukę wyrównywającą tej, jaką by w szkole nabyć mogły.

Takie postanowienia byłyby dobre w kraju, gdzie obywatele posiadają dobrobyt i prawa obywatelskie, lecz w krajach, w których mieszkańcy zaniedbujący posyłać dzieci do szkoły, są to właśnie ci, którzy nie płacą podatków i nie mają praw politycznych, prawo powyższe byłoby niepraktyczne bo nie dosięgałoby ich.

P. Girardin proponował sankcyją następujących kar:

1. Pozbawić używania praw politycznych wszystkich płacących podatki, a nie mających jeszcze 20 lat, którzy nie dowiodą, że od pewnego oznaczonego czasu umieją czytać i pisać.

2. Dodać do prawa z 21 Marca 1832 r. aby nie umiejący do wyżej oznaczonego czasu czytać i pisać, stawieni byli przy konskrybcyi wojskowej pod pierwszym numerem. *).

Środki powyższe przedstawiają takie same niedogodności jak poprzednie, bo dzieci cierpią z zaniedbywania się rodziców. Nie wytępiają ciemnoty, a tylko ją karzą, co jest bezskutecznem. Obawa złego numeru nie podziała silnie ani na ojca, żeby go uczynić obojętnym, ani na syna, żeby go zachęcić do odzyskania straconego czasu. W braku przezorności, rodzice zaniedbają naukę dzieci, a też dzieci własnej swej nauki, i prawo przypuszcza tu cnotę, której nieobecność karze.

d. c. n.

ŚWIETNE WIDOKI PANI MARCINOWÉJ.

OBRAZEK Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

przez Felicyjana.

(ciąg dalszy)

Oto Migdalska, dowiedziawszy się, że pan Edward nazywa się Mennicki, wspomniała sobie: jak nieraz mąż jej na odwachu przy Mennicy bywał na służbie. Jest tam komin wysoki, zapewne do wytapiania pieniędzy—ale ona posyłana bywała po szpagatówkę do sklepiku naprzeciwko — gdzie na szyldzie namalowana była także Mennica.

— Nie Mennica — tylko miednica — rzekła na to nieco za ostro pani Marcinowa.

W tym punkcie Migdalska zamilkła. Ale pani Marcinowa mówiła dalej z goryczą, że nie potrzebuje żeby ją kto rozumu uczył, bo ona jest osoba bywała, która nie z jednego pieca chleb jadała.— Tu zwróciwszy się ku panu Jacentemu, jęła się wyszczególniać mu swoje kolligacyje, czego on słuchał mocno kiwając głową, nie pomny, że mu się coraz niżej opuszczały włosy — nareszcie oświadczył: że może wypić *massę* ponczu, a mimo to aż do końca *znakomicie* zachować przytomność *umysłową*. Co gdy powiedział, na myśli mu stanął karnawał, a z nim i niewymownie słodka piosenka, zaczynająca się od słów: „oto strumyk i dolina“ — piosenka znakomicie wzięta w swoim czasie, przez masę osób śpiewana,

*). De l'instruction publique en Trance 3-cia edykcyja str. 38.

i w ogóle z wielką ułożona *zdolnością*. Jakoż odłożywszy na bok *stanowisko*, zanucił ją też niebawem — ale na nieszczęście w sposób więcej natchniony jak obmyślany. Bowiem co prawda, stało się to trochę za obcesowo, i mogła łatwo aż Pietrzycka posłyszeć — ale już za późno było się cofać — i rzecz szła dalej — owszem coraz przeważniej wzbierając w potęgę.

Tymczasem co też pan Edward porabiał? On przy Agatce siedział jak przyszyty, ciągle coś w ucho jej szepcząc — co tam takiego? — Któż posłyszy przy takim zgiełku? W tem, czy istotnie pocałował ją w szyję?

— Tak się przynajmniej Jerzusiowi wydało — ale go srogo za to zburczała Magdusia. Co prawda, i tego także słychać wcale nie było — przy takim śpiewie — no! — umarliby się ocknęli, cóż dopiero Julka z nadtłuczonym nosem!

Ona kiedy się ocknęła — Jezus Maryja! — a toćże jej się wydało: że wszyscy w izbie stoją do góry nogami. Właściwie zaś był to tylko Jerzuś jeden, który nie uważając dobrze, zamiast na stołku usiadł obok stołka — ale się zerwał szybciej jeszcze niż kiedy usiadł, i znów się okazało: że nikt tam nie był nogami w górę. Trochę może tylko na głowach sobie stawano, ale i to w znaczeniu czysto postaciowem a przenośnem, o którem jednak Julka najmniejszego nie mogła mieć pojęcia. I kiedy się to działo, Migdalska biła się pięścią w kolano, twierdząc, że wszystko wyjdzie jak oliwa na wierzch — ale nie wiadomo mianowicie: co takiego? — Pani Marcinowa zaś podrzemywała od czasu do czasu — ale było to drzemanie gromu w chmurze, jak się też i pokazało niebawem. Tymczasem pan Jacenty szczęśliwie ukończywszy śpiewanie, znów sobie wspomniał karnawał, skąd i tem silniej poweselał w nim animusz.

I oto znagła *zpołożeniem* swojem rozbrat biorąc, czegóż się to mniej rozważnie dopuścił ów mąż niezwyczajny? Ni mniej ni więcej, tylko opętała go chęć do tańca — chęć tak niepozbyta — że na samym środku izby zamieszkanie prawne obrawszy, tamże niebawem wierzytelną kopiję byczka z czasów dawnych wykonywać począł. Z pewnem nawet powodzeniem — gdyby nie włosy które mu co do jednego na kołnierz były opadły, i gdyby nie poły od surduta, które wielką wzniecały kurzawę. Widząc to Julka miała ochotę nogę mu podstawić, ale dobrze że tego (w koszuli będąc) dopełnić nie mogła — czyn ten bowiem zdradziecki w prędce by czoło pana Jacentego doręczył podłodze, a ta przyłożyłaby na niem stempel szacunkowy, któryby mógł być sińcem, będąc w przódy guzem...

Aliści pani Marcinowa ziewnęła bardzo znacząco. Ziewnięcie było z tych przeciągłych, rozgłośnie brzmiących, od których opamiętywa się najzatwardzialsza wesołość. Jakoż posłyszawszy je, pan Jacenty ostygł znakomicie, zaczem i nazbyt szybko wykonawszy stanowisko, tylko co nie przybrał położenia na ziemi, czemu zapobiegając, czemprędzej zajął posadę na stołku.

— I któraż to tam nareszcie godzina? ozwała się groźnie pani Marcinowa, spostrzegając znienacka: że się już nafta w lampie dopala, i że stopniowe izbie zagraża zaćmienie.

Na to pan Edward uprzejmie sięgnął do kieszeni, i wydobywszy z niej zegarek (złoty zegarek z dewizką), oświadczył wesoło: że jest zaledwie w pół do trzeciej.



Agatka nie wiedzieć czemu spiekła raka i poszła spiesznie dmuchać w samowar. (do N 3.).

Wtedy to ta osoba, niepomna na święte gościnności przepisy, oznajmiła stanowczo: że czas jest spać się udać, i że ona już dłużej nie wytrzyma.

— Bo i prawda — odezwała się mniej potrzebnie Migdalska — kto ma sklep który do



Nie jest to wcale nie właściwie panie Jerzy kochany.

dnia trzeba otwierać...

— Szklep, nie sklep — rzekła na to popędliwie pani Marcinowa, i zaraz potem rozpłakała się rzewliwie. — Ach mój Boże! Gołaszewska z domu! na co to zeszło! Miał jej mąż (rewizor) przysłowie jak się nazywa — ale co tu i gadać? Otóż dnia pewnego — cóziem ci chciała powiedzieć — (tak mówiła ta niewiasta rozbolała) — nie, już jest po wszystkiem, i prędzej jej włosy na dłoni wyrosną... Doprawdy, niech już dyjabli raz porwą niewdzięczność ludzką i obmowę — słowem: że niech ją Bóg ciężko skarze, jeśli tego...

Mówiąc te wszystkie rzeczy, zasnęła, złożywszy zrozpaczoną głowę na zasmuconych dłoniach, tuż na rogu zatwardziałego stołu, w izbie posępnie zamroczonej — skutkiem czego wszystkim się udzieliła zdumiewająca powaga...

Więc pan Jacenty apelując do rozsądku pierwszy się za odwrotem oświadczył, co też i za właściwe ogólnie uznano.

W dalszym ciągu stało się, że go pan Edward musiał pod rękę odprowadzić do domu, a on zapomniawszy, że nic nie wziął, twierdził koniecznie: że sobie wygrał na *dryndę*. Jakoż na każdym rogu stała mu w oczach *massa* dorożek. — Hej! *sałata!* wołał uporczywie — a tu nic nie nadjeżdżało. Wtedy śmiał się *znakomicie*, i bywało tak, że się jeszcze śmiał, kiedy już napadała go wątpliwość, czy się nie spisał czasem trochę *nie właściwie* Ale nic. Pan Edward zapewnił go o swoim szacunku, na schody go wydźwignął, świecę mu zapalił i odszedł kłaniając się na cztery wiatry, a w tem przysunęło się łóżko do pana Jacentego, i samo podłożyło się pod niego ani wiedział kiedy.

Co do Jerzusia, ten znowu matkę poprowadził, a Magdusia szła z boku. Aż razu jednego, chcąc jak mniemał, pijakowi jakiemuś z drogi się ustąpić, pośliznął się i padł na kolana, plackiem do nóg Magdusi. Ta natychmiast za oświadczyny to wzięła — Migdalskiej zaś wydało się dość nierozsądnie: że on jej miarę chce wziąść na buciki. Jakże? jedno i drugie tak oto, z kopyta — przy latarni — ponad rynsztokiem — tuż obok mostku? Zaczem niezmiernie się z tego śmiano, dźwigając Jerzusia — z czego ten korzystając, w skrytości wyprostował sobie kołnierzyk, który znów zaraz potem pochylił się i opadł. Słowem: że gdyby nie nagłe ochnienie pani Marcinowej, to ów bocian z nad sklepiku, w zarozumiałości swej, gotów był uwierzyć: że istotnie dnia tego przyniósł całą zgraję dzieci, w pośród których Julka postrzelona, na upartego zaprzykład powagi uchodziźby mogła. Niemniej zdarzenia zaszłe wtedy, w życiu tych kilku chwilowo zdziecinniałych osób, utworzyły rzec można, pewien rodzaj pamiętnej epoki. I tak bywało że Julka mówiła czasem

— To się stało wtedy — pamiętą matuchna, kiedy mię ten łobuz Wicek popchnął na ślizgawce.

A na to Agatka:

— Ale to tego dnia — wie mama — kiedyto ten nieznośny pan Edward...

Dla czego nieznośny? czy że ją w szyję pocałował? czy to tak co nieznośnego?

ROZDZIAŁ XI.

Syczenie wężów.

Bądź jak bądź, nazajutrz po dniu tym wesołym, Jerzusia okrutnie bolała głowa. Dręczyło go też przypomnienie owego pocałunku, bo on go widział na własne oczy — musieli

być i inni świadkowie. Ale kiedy spytał o to matki — pokazało się, że właśnie wtedy drzemała.

Natomiast śniło się jej (ale już w nocy), że widziała, jak brukowano na ulicy Książęcej. Że zaś rzecz taka drogo podobno kosztuje, stosownie tedy szukając w senniku, oto co tam znalazła:

„Drogi kamień widzieć, dla mężczyzn źle, dla kobiet dobrze, nie żonatym dobrze; tym którzy dzieci nie mają jest sen taki obietnicą, że w krótce będą mieli, — tym którzy dzieci mają, pociecha z takowych na starość.“

Z czego jest jasno jak na dłoni: że dla niej (kobiety) sen taki dobrze wróży, równie jak dla nie żonatego Jerzusia. Dalej — że tym którzy dzieci nie mają — nie — to jest tym którzy je mają (jak ona ma Jerzusia) pociecha z nich na starość, czyli wielkie uradowanie — czyli ogromne uszczęśliwienie — czyli jednem słowem: że się Jerzuś koniecznie ożeni z Magdusią. Jakoż zaraz w tym celu położyła kabałę (według przepisów Pitagoresa jak również *stoi* w senniku) i wypadło: że się znalazł król czerwienny tuż obok damy czerwiennej, a przy nich o dwie tylko karty, podróż (pewnie dorożką do kościoła ślicznie pięknie) i znaczne pieniądze (zapewne do wydania na wesele).

Ale Jerzuś zupełnie myślał o czem innem. Jerzuś co prawda, rady sobie dać nie mógł. On by tego pana Edwarda, żeby go w ręku miał... to co by z nim zrobił jak myślicie? Oto z przyjemnością by go podarował Magdusi. Albowiem wiedzcie to za pewnik niezachwiany, że jeśli dnia wczorajszego klął na ulicy, to jedynie dla tego, że mu Magdusia nie była dość silną podporą; zaczem też idzie: że bynajmniej dla siebie nie byli stworzeni. Co zaś? On by się jej miał oświadczać, lub choćby miarę brać na jej nogi? Już jak miarę toby wziąść ją wolał panu Edwardowi. Żeby mu buty uszyć — powiecie złośliwie? — No — juźci nie bez tego — bardzo był bowiem na niego zawzięty, Jakże? Toć już i wprzódy probował go podkopać—ale jak wiemy na nic się to nie zdało. Owszem —jeszcze mu to ściągnęło zarzut zazdrości, o czem zasłyszawszy Magdusia z osoby obojętnej, stała się znagła wielką sprawy tej całej protektorką.

— Nieznośny człowiek! nieznośny człowiek!— mruczał pod nosem (nierównie szczerszy w tem od Agatki).— Żeby on tak sobie oto całować kogo śmiał.

Kogo — znaczyło tu Agatkę. A cóż go Agatka tak żywo obchodziła?—Ba, ba—on się już Bóg wie odkąd nosił z tą Agatką—ale człowiek nieśmiały, zahukany, ciągle odkładający do jutra — cóż chcecie?..

Po obiedzie, sprobował pójść do pana Jacentego. Ale zastał go w niemałym kłopocie, zepsuła się bowiem pozytywka z krakowiaczkiem, z której uczył śpiewać kosa. To jest, nie zepsuła się zupełnie, ale tu i owdzie piszczeć zaczęło, sapać, przeciągać — a ten głupi ptaszysko powtarza co do słowa jak słyszy. Trzeba ją będzie do naprawy oddać; on tymczasem zapomni czego się nauczył. Tu rozpoczęła się długa rozprawa o tem: co jest kos, jak go karmić należy i jak wkładać do śpiewu.

— Massa ludzi twierdzi: że mu do tego należy język podciąć — ale to jest nie właściwie. Najstosowniej budzić go w nocy i grać mu najmniej z godzinę — wtedy ze złości że mu spać nie dają, usiłuje koniecznie przekrzyczeć pozytywkę.

Jerzuś był jak na śpilkach. Jak tu od kosa na pana Edwarda zjechać? Na szczęście sam pan Jacenty ni stąd ni zowąd ku niemu przeskoczył — ale tak go wychwalać począł — tak wychwalać — tak go nazywać znakomicie uzdolnionym, i taką massę przymiotów posiadającym człowiekiem — że ani sposobu było łatę mu jaką przy najlepszej chęci przypiąć.



Pan Jacenty kopiję byczka z dawnych czasów wykonywać począł.

Nareszcie pod ramię Jerzusia wziąwszy, i na bok go odprowadziwszy, rzekł mu z cicha (zapewne żeby kos nie posłyszał):

— Wszak przypominasz sobie panie: żeśmy się tam wczoraj trochę rzec można tak sobie podweselili. Nic w tem zdrożnego — jednakże ludzkie języki złośliwe mogłyby to nie zupełnie stosownie tłumaczyć. A! tak — o! nie ma gadania — zawsze lepiej się mieć na baczności. Otóż — proszę cię panie dla mnie to zrób: żebyś przy sobie całą tę rzecz zachował. Komukolwiek mówić o tem co tam zaszło, byłoby to trochę niewłaściwie. Człowiek widzisz panie ma swoje stanowisko — o! ma — i położenie, tego — to łatwo przecię zrozumieć. No żegnam cię panie — do widzenia! do widzenia.

Kiedy to mówił w sposób ze wszech miar dostojny, Jerzusiowi się wydało: że się od wczoraj w jakiś nowy, całkiem obcy sobie świat zaplątał, na którym nie wiadomo czy trafi jeszcze do dawnego ładu. Odszedł markotny. Pan Jacenty tak ogromnie wyglądał na wielkiego pana! Ten Edward utrapiony wszystkim widać głowy pozawracał. Z kim tu gadać? Magdusia może jedna jeszcze....

Wieczorem przyszła i Magdusia, ale zaraz z góry zapowiedziała: że wszystko idzie jak najlepiej.

— Jakie wszystko?

— Oto Agatka przestanie już chodzić do Magazynu, i pani Marcinowa maszynę jej kupi, bo zdaje się na pewno: że się pan Edward z nią ożeni...

Migdalska na to aż w ręce klasnęła z radości. Jerzuś poszedł do warsztatu, i tam (co mu się nader rzadko zdarzało) skropił pocięglem chłopaka, wyłajał czeladnika i wrócił znowu kwaśny, zły na siebie i bardzo skłonny do rzewnego płaczu...

— Głowa go boli — szepnęła Magdusi Migdalska — ale to nic. Przyłoży sobie octu siedmiu złodziei i będzie zdrów, jak raz na wesele.

Ha! ha! na czyje?..

ROZDZIAŁ XII.

Zbliżanie się wężów.

Nazajutrz wieczorem wybrał się Jerzuś do sklepiku pod Bocianem. Ale od tyłu ciemno było — wlazł w baliję z wodą, i tylko co nie wpadł do piwnicy. Poniedział... — dzień feralny, no, nic dziwnego. W sklepie sprzedawała po przyjaźni dawna znajoma pani Marcinowej (żona niegdyś młynarza, który miał swój *własny* wietrak tuż przy cegielni).

— Państwo — jak powiedziała — do *tyja*tru poszli na Skarbonkę, która jest to samo co Życie Paryzkie choć nie tyle zajmująca.

Jerzuś odszedł bardzo zgorszony.

— Jak to można kim obcym w handlu się wyręczać! Człowiek się potem nie dorachuje swojego. — Do teatru poszli — czy to potrzebne? — I ta balija przeklęta! jutro widać pranie — czy co?

Prania tego najzupełniej pewny, przyszedł nazajutrz, dobrze przed wieczorem. Na placyku z chłopakami bawiła się Julka w żołnierzy, trąbiąc na obtłuczonej butelce. Spostrzegłszy go, podbiegła ku niemu w kaszkiecie z głowy od cukru:

— Nie ma niko*gój*. Pojechali aż się zakurzyło, do Doliny i do Łazienków. Latałam po sanki aż na Nowe Miasto, a potem rozparłam się w nich jak jaka wielka pani.— Wicek stał z tyłu za lokaja. Pan Edward obiecał mi broszkę kupić — wie pan? — ja bym wolała *kulczyki* — ale nie mam jeszcze uszu przewierconych.

Co zaś do Jerzusia, to znowu rzadko o wiercenie uszu podobne temu, jakiego on, słysząc wszystko to, doświadczał.

— Już to jak się od poniedziałku źle zacznie — mruczał zrozpaczony.

Dla tego wcale już nie probował środy.

Jednak we czwartek znowu go skusiło. Poszedł jak najdalszą drogą, zachodząc. wracając, ociągając się — słowem i chciał tam iść i bał się. Ale nie było czego. Owszem wszystko dobrze poszło. Nie potknął się ani razu, w sklepie zaś zastał panią Marcinowę i Agatkę — ba nawet pana Edwarda nie było. Agatka nadzwyczajnie się wydawała wesoła — wyglądała jak różyczka —tylko że miała w uszach nowe kolczyki...

— Kochany panie Jerzy — czemu pan u nas tak dawno nie był? powiedziała po elegancku, odkładając na bok jakąś książkę.

Pani Marcinowa zaś nazwała go dwa razy przyjacielem — dodając: ze nie godzi się, żeby zaniedbywał tego — jakże tam? stosunku.

Poczem zaczęto mówić o maszynie — bowiem Agatka stanowczo już do magazynu chodzić nie będzie.

— Może to i dobrze — to jest zapewne że i lepiej — rzekł Jerzuś — bo to — kiedy się wraca--czyli prawdę mówiąc z powrotem, przez ulicę — to nie bez tego. żeby kto nie zaczepił.

— O! teraz nikt nie zaczepi — pan Edward ją zawsze odprowadza.

— Pan Edward?

— Nie jest to wcale *niewłaściwie*, panie Jerzy kochany — rzekła z góry pani Marcinowa — idzie tu o *massę położenia*.

— I znakomite stosunki, dorzuciła Agatka.

Co gdy mówiły, poznał Jerzuś: że tam w użycie weszła mowa wcale dostojna, i to go nawet potężnie do ziemi przypłaszczyło. Co tu robić? Miał wiele do powiedzenia Agatce, ale nie w obecności pani Marcinowej, i także pani Marcinowej, ale gdyby to nie przy Agatce. I potem, jak się tu wziąść do tego?...

Właśnie nad tem rozmyślał, kiedy znagła licho przyniosło pana Edwarda, w towarzystwie pana Jacentego. Tylko co pili *znakomitego* Benisza prosto z lodu, w ogródku pod Chłodem.

— Gdzie ciarki łażą po grzbiecie, a zęby z rozkoszy ognia dają — dodała od siebie niesforna Julka. — Ale nie zważając na to, pan Jacenty z nietajoną radością oznajmił Jerzusiowi: że „w mowie będąca pozytywka, stosownie już wyre*per*owaną została.“

d. c. n.

ZARYSY

Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

(Ciąg dalszy).

Trzykrzyżka góra podług tradycyi otrzymała nazwanie od męczeńskiej śmierci siedmiu księży franciszkanów, sprowadzonych do Wilna za Olgierda przez bojarzyna Gasztolda, których poganie, podburzeni przez swych krewe, t. j. kapłanów, z tej góry przywiązanych do krzyżów rzucali do Wilenki. Na tę pamiątkę w późniejszych czasach wzniesiono tu trzy krzyże, wznawiane przez wszystkie wieki. Dziś podobno już tylko dwa pozostało.

Nakoniec ostatnia góra pamiątkowa, o któréj wspomnieliśmy, nosi nazwę *Bekieszowej*. Tu bowiem był pogrzebiony Siedmio-grodzianin Kasper *Bekiesz*, współzawodnik i nieprzyjaciel Stefana Batorego, przez długi czas prowadzący z nim spór o księztwo Siedmiogrodzkie, a w końcu przyjaciel i wierny sługa. W Litwie dowodził Bekiesz węgierską piechotą i umarł w Grodnie w r. 1580. Należąc do sekty antytrynitarzów nie mógł być pogrzebiony na cmentarzu, przeto Batory na miejsce wiecznego spoczynku dla swego przyjaciela wybrał tę górę, gdzie już przed rokiem pogrzebiony był inny wódz Batorego, Władusz Panończyk, zabity pod Połockiem. Nad grobem Bekiesza Batory wzniósł piękny pomnik w kształcie ośmiokątnej wieży, wysokiej na 16½ metrów, szerokiej na 4 metry, zamurowanej na głucho. Rzeka Wilenka płynąc u podnóża góry podmywała ją coraz bardziej i w końcu 17 maja 1838 r. runęło 5 ścian, a 17 stycznia 1841 runęły i trzy ostatnie. W gruzach obalonej baszty znaleziono czaszkę ludzką i czapkę z płowej grubej sajety. A ponieważ w tym grobie pochowani byli tylko Bekiesz i Ponończyk, przeto czapka i czaszka do jednego z nich należeć musiała. Ciekawe te zabytki były złożone w muzeum Wileńskim.

Oprócz głównej świątyni Perkuna w dolinie Swintoroga, była jeszcze inna świątynia pogańska na górze zamkowej, nad samą spadzistością nad Wilenką.

Gdzie stała świątynia Perkuna tam wzniesiono kościół katedralny, świątynię zaś pogańską na górze, zamieniono na kościół pod wezwaniem ś. Marcina. Na miejscu zaś innej znów świątyni pogańskiej, *trzeciej* z kolei, Jagiełło wzniósł kościół ś. Jana, później archiprezbiteryjalny i uniwersytecki. Przy tym kościele piękna wieża, w której zawieszono dzwony, jest najwyższą z wież wileńskich; wysokość jej 58325 metrów.

Czwarta świątynia pogańska, Ragutisa, bożka pijaństwa, przerobioną została przez pierwszą małżonkę W. ks. Olgierda, Maryję księżniczkę Witebską, na cerkiew wschodniego obrządku, gdzie też i zwłoki jej spoczęły.

Piąta świątynia *Mildy*, bogini piękności, przerobioną została na kościół świętego Piotra i Pawła.

Następnie *szósta*, obszerna świątynia, raczej panteon Litewskich bogów, zawierała posągi wszystkich znaczniejszych bogów. Tu we środku stał posąg głównego boga Perkunosa, a dokoła niego na wysokich piedestałach pomniejsze posągi wszystkich innych bóstw. Co czwartek, jak opisuje Helmold odbywało się tu uroczyste nabożeństwo, na które zbierali się wszyscy kapłani z innych świątyń, każdy z nich zapalał świecę woskową przed posągiem, którego był kapłanem, a sam Krewe-Krewajte zapalał ogień przed Perkunem, lud zaś składał mnogie ofiary. Ruiny tej świątyni istniały jeszcze w XVII wieku, z których Sapiehowie zbudowali wspaniały pałac, dziś zamieniony na szpital wojskowy na Antokolu.

Oprócz tych głównych świątyń pogańskich, o których podania i wiadomości kronikarskie pozostały, istniały jeszcze święte gaje, także rozmaitym bogom poświęcone. Na dolinie Swintoroga, niedaleko wiecznego Znicza, był gaj niewielki dębowy, którego drzewa były ścinane wyłącznie tylko dla palenia na ołtarzu Perkuna. Dzisiejszy ogród ks. Bernardynów i teraz przez lud *gajem* nazywany, był to właśnie gaj święty pogański, a wśrodku jego nad Wilenką, znajduje się bardzo stara budowa, na woskownię obrócona, którą podług tradycyi zaliczają do prastarych świątyń pogańskich.

Inny znów gaj święty był nieco odległej od miasta, gdzie dziś przedmieście Łukiszki i kościół ś. Jakóba. Tu przed kilku laty przypadkowo dużą kamienną nogę od olbrzymiej wielkości posągu znaleziono.

Pałac wielkoksiążęcy, od czasów Witolda aż do Zygmunta Augusta ciągle zwiększany i upiększany nosił cechy bardzo wspaniałej rezydencyi panujących. Galeryja wschodowa łączyła oba zamki, górny z dolnym, druga zaś galeryja wiodła z dolnego zamku do kościoła katedralnego. Właściwe mieszkanie było w dolnym zamku, górny zaś przeważnie był obronnym; za W. ks. Aleksandra był tu zamożny arsenał, a za Zygmunta Augusta bogata biblijoteka. Z górnego zamku szedł loch podziemny prowadzący do Wilii i gór antokolskich. Służył on zawsze i do ucieczki w czasie napadu nieprzyjaciół.

Ze śmiercią Zygm. Augusta umarła, i świetność stolicy Litwy. Od tego czasu i zamki niszczeć poczęły, przez nikogo nie zamieszkałe. Batory, w późniejszych czasach Władysław IV, bardzo rzadko Zygmunt III, niekiedy tylko do Wilna przybywali na czas krótki. W końcu za Jana Kazimierza zupełnie opustoszały, tak że królowie przybywający do Wilna już w prywatnych gmachach mieszkać musieli. W r. 1797 dolny zamek rozebrany został, a cegłę starożytną przedsiębiercom na rozmaite budowy sprzedano. Na górze zaś do dziś dnia pozostała jeszcze jedna z wież, oraz część ściany, właśnie gdzie był kościół ś. Marcina.

Oprócz tych głównych pałaców była jeszcze letnia rezydencyja wielkoksiążęca w uroczem miejscu nad Wiliją, *Wierszubką* zwana. W innem znów miejscu również w czarownej okolicy, na Popławach nad Wilenką, był wspaniały pałacyk królowej Heleny, małżonki Aleksandra.

Ludność obecna Wilna wynosi przeszło 73 tys. głów. Do Jurysdyki miejskiej należy w samem mieście 1,870 dziesięcin 2,387 sążni, za obrębem miasta 2,234 dziesięciny, razem 4,204. Obwód całego terytoryjum miasta odpowiada 4 milom. Ulic i zaułków w mieście liczą 86, placów 18, kościołów 16 i dwie kaplice cmentarne. Cerkwi z czasowniami, t. j. kaplicami 17. nadto 1 kościół ewangelicki, 1 luterski, z kaplicą cmentarną wspólną i dla ewangelików; 1 meczet tatarski, i synagog izraelskich 7. Cmentarze: prawosławny 1, katolickich 4, ewangelicki 1, żydowski 1, razem 7.

Zakłady naukowe: gimnazyjum realne i filologiczne. szkoła wydziałowa, gimnazyjum żeńskie, szkoła dla dziewcząt ze stanu duchownego obrządku prawosławnego; seminaryjum: prawosławne i katolickie, nadto szkoła powia-

towa duchowna; szkoła sztuk pięknych, szkoła muzyki; szkoła wyższa żydowska i kilka średnich, w końcu kilka pensyi żeńskich i kilka szkół parafijalnych w Mołodecznie. Ogólna liczba zakładów naukowych w Wilnie stanowi 42. Wyższe zakłady i towarzystwa naukowe: Obserwatoryjum astronomiczne, centralne archiwum aktów gubernii Wileńskiej, grodzieńskiej, mińskiej i kowieńskiej, komisyja archeograficzna, cesarskie towarzystwo lekarskie; komitet statystyczny; fiilija geograficznego towarzystwa; biblijoteka publiczna z gabinetami zoologicznym, mineralogicznym, oraz muzeum starożytnicze.

Oprócz zajmujących posady rządowe, jest praktykujących lekarzy 24, dentystów 3, akuszerek 11, aptek 4 rządowych i 11 prywatnych.

Zakłady dobroczynne: Towarzystwo dobroczynności; Towarzystwo pod nazwą *Dobrotliwej kopiejki*, którego celem jest moralne i materyjalne opiekowanie się nad biednemi, założone w r. 1868 przez Katarzynę Potapową, małżonkę naczelnika kraju; 2 przytułki dla dzieci; 3 szpitale dla chorych; szpital dla waryjatów; zakład dla podrzutków p. n. „Dzieciątko Jezus.“ Nadto pomniejsze szpitale przy cerkwiach, kościołach, oraz cmentarne.

Dodać tu jednak musimy, że w Wilnie istnieją 4 banki pożyczkowe i dyskontowe, z tych 1 rządowy i 3 akcyjne *).

O milę od Wilna, nad brzegiem Wilii, płaszczyzna którą się przejeżdża coraz się podnosi i w końcu ukazuje się oczom wzniosła góra, jakby wiankami drzew zielonych cała odziana, śród których wynurzają się szczyty włoskiego stylu pałaców. Są to słynne *Werki*, do których wiele podań i legend lud przywiązuje. Kronikarze nasi, jak Kojałowicz i Stryjkowski dowodzą, że koło roku 1280, Kunigas litewski, t. j. wielki książe, przybył w to miejsce na łowy i tu myśliwi jego usłyszeli kwilenie niemowlęcia, które znaleźli w kolebce zawieszonej wysoko na drzewie w orlim gnieździe. Na tę pamiątkę od wyrazu litewskiego *Warkt*, płacz, miejsce to nazwano werkami i książe oddał je na własność Krewe-Krewejcie, któremu powierzył i wychowanie znalezionego niemowlęcia. Był to sławny później w dziejach litwy ostatni litewski Krewe-Krewejta imieniem Lizdejko. Podług innych Lizdejko był synem księcia, staraniem Krewe-Krewejty ochroniony od rzezi, gdy książęcą rodzinę wyciąć zamierzył Dowmond brat Narymunda, miał on za żonę siostrę W. ks. Witenesa i dał początek domom Radziwiłłów, Narbuttów i innych.

Werki od Krewe-Krewejty przeszły w r. 1387 na własność pierwszego biskupa wileńskiego Andrzeja Wasiłło, a zostawały we władaniu jego następców aż do biskupa księcia Masalskiego, który nabył Werki od kapituły na prywatną własność i zamierzył utworzyć ordynacyją dla księcia K. I. de Ligne, za którym była jego synowica, dla tego to w r. 1782 wzniósł tu wspaniały pałac pod kierunkiem znanego W. Gucewicza, z kaplicą, teatrem, obszernemi salami, a nadto wielu innemi wspaniałemi budowlami. Ks. biskup Masalski powieszony w Warszawie w r. 1794, ordynacyja nieprzyszła do skutku, a dziś właścicielem tych cudnych Werek jest książe Piotr Witgenstein, syn Stefana i Radziwiłłówny wydanej za Ludwika Witgensteina. Prawdziwie królewska to i dziś rezydencyja. Widok z góry, na której stoją pałace i pozakładane ogrody jest do nieopisania czarowny. Bieg Wilii widać stąd na mil kilka, Wilno jak na dłoni, tak samo kościoły Kalwaryjski, Trykopolski, wsie i osady, lasy i jeziora. Pałac Werbowski zdobią pamiątkowe zbroje i oręże książąt Radziwiłłów przeniesione z Nieświeża, bogata galeryja obrazów. Zdaniem turystów niewiele jest miejsc w Europie tak czarownych, nie tylko pod względem położenia swojego, ale i... urządzenia bogatej pańskiej rezydencyi, z ogrodami, parkami, wodotryskami, których sprowadzenie na tę wysoką górę krocie kosztowały. W pobliżu Werek, śród lasu ciemnego, wzniesiono piękny kościół do wnętrza którego prowadzą schody na 5 kondygnacyi. Do około kościoła, w lesie, nad strumykami i parkami, na przestrzeni mili, rozsiane kapliczki murowane. Jest to kalwaryja wileńska, założona przez biskupa Jerzego Białozora w r. 1564. Co rok na Zielone Święta przeszło sto tysięczny tłum ludu z całej Litwy na odpust tu przybywa i tworząc najróżnobarwniejsze grupy ze śpiewami i litanijami obchodzi drogi męki Pańskiej. Kościoł ten istnieje i do dziś dnia, a lud i dziś tłumnie zgromadza się.

Obie te osady Werbowska i Kalwaryjska należą do najdawniejszych w tym kraju.

Za najpierwszą stolicę książąt litewskich uważany jest *Kiernow* (Kernow), o 5 mil od Wilna, założony przez księcia Kernusa, wnuka Palemona. Ale sam Kernus i Polemon należą do epoki, której dzieje z pewnością niewiadome. Nieulega jednak wątpliwości, że tu była pierwsza stolica i że na dzielnicy kiernowskiej panowali książęta mający zwierzchność nad innemi aż do roku 1230, do Ringolda, który przeniósł stolicę do Nowogródka, lecz aż do Gedymina, tu wielcy książęta litewscy byli podnoszeni na tron litewski i tu główne narady państwowe odbywali. Jako jedyne ślady dawnej wielkości pozostały tylko okopy i kopce, oraz trzy wzniosłe pagórki nad Wiliją, gdzie były zamek i świątynia pogańska. Po obaleniu Perkuna w Wilnie, tu się schronił krewe-krewejto Lizdejko i święty ogień Znicza utrzymywał aż do śmierci swojej. Kościół w Kiernowie należy do pierwotnej fundacyi kościołów na Litwie za Jagiełły. W poezyi i powieści znany jest Kiernow, wraz z jego piękną księżniczką Pojatą córką Kernosa. *d. c. n.*

*) Bliższe szczegóły o Wilnie ob. w przechadzkach po Wilnie i jego okolicach Jana ze Śliwina, wyd. drugie 1859 r., oraz Wilno i koleje żelazne, A. H. Kirkora, 1861.

JAK NALEŻY ROZWIJAĆ UMYSŁ DZIECKA?

napisał

Aleksander Głowacki.

Matkom poświęca
autor.

Słowo wstępne.

Nim przystąpimy do kwestyi: jak należy kształcić i rozwijać umysł dziecięcy?—pozwólcie czytelnicy, abym cofnął się wstecz i przypomniał, w jaki to sposób kształcono i rozwijano nas, ludzi obecnie pełnoletnich, zajmujących pewne stanowiska w świecie i rozmyślających dziś nad sposobami wychowania pokoleń.

Gdyśmy poczęli stawiać pierwsze kroki i wymawiać pierwsze wyrazy, uczono nas: „*pieścić się*“—to jest opuszczać, zmiękczać lub zmieniać głoski. Jednocześnie podsuwano nam lalki z dzwonkami i świstawkami, konie, domy i wiatraki form niebywałych.

Gdyśmy już popsuli wszystkie zabawki, a w nauce języka pieszczotliwego weszli w fazę twórczą i już sami poczęli kuć wyrazy,— wychowawcy przystąpili do oduczania nas mowy dziecinnej. Jednocześnie piastunki opowiadały nam dreszczem przejmujące historyje o wilkołakach, smokach, upiorach i tym podobnych miłych drobiazgach, nader korzystnie wpływających na wytworzenie odwagi i zdrowego sądu.

Potem uczono nas: *BE*, *EM*, *PE*, i t. p. a następnie poczęto w nas wmawiać, że: *BE* i *A*, nie znaczy *bea*, tylko *ba*, zaś *EM* i *A*, także nie znaczy *ema* tylko *ma*.

Dalej, (pominąwszy już cały łańcuch pośredni), uczyliśmy się tabliczki dodawania i mnożenia na pamięć,—a jeszcze dalej: religii, jeografii, gramatyki, zoologii, botaniki z książki.

Jednocześnie jednak musieliśmy wierzyć, że cztery prawdy chrześcijańskie i cztery okolice świata należą do dwu zupełnie różnych kategoryj przedmiotów, chociaż poznaliśmy je w jednaki sposób, że *Bug* rzeka i *buk* drzewo wcale nie są do siebie podobne, że wyrazy *boa* i *boabab* odznaczają rzeczy złożone z zupełnie różnych części i t. d.

Przez cały czas trwania tej edukacyi, nauczyciele nasi nazywali nas: osłami, mułami, zakutemi głowami,—przyznawali pewną zdolność, osobliwie do przedmiotów pamięciowych, lecz zarazem podziwiali „pewny wstręt do książki“ czyli „do nauki“. Rodzice czyli opiekunowie mówili nam o grzeczności, porządku, odwadze, zimnej krwi i t. d. lecz jednocześnie załamywali ręce nad niesłychanym uporem czy też roztrzepaniem, które niepozwalało nam ze zbawiennych tych nauk korzystać.

Wreszcie skończyła się edukacyja. Kilku przyjaciół domu zapewniło nas że jesteśmy „wcale ukształconemi młodemi ludźmi“ —rodzice wprowadzili nas w świat, dokąd my weszliśmy z wielką ochotą, a jeszcze większem przekonaniem o swojej, jeżeli nie nadzwyczajnej, to przynajmniej dostatecznej genijalności. Dopiero czas, ten nieubłagany sędzia, ten radykalny a nielitościwy lekarz, przetarł nam oczy i oto co zobaczyliśmy:

Uczono nas nauk przyrodzonych, a czy poznaliśmy przyrodę?... Poznaliśmy bibułę na której drukowano nie zawsze szczęśliwie i nie zawsze dokładnie przedrzeźniające ją opisy.

Mówiono nam o wielkich odkryciach naukowych i o drogach na których zostały dokonane —ale czy przez to nauczyliśmy się obserwować doświadczać i samodzielnie tłomaczyć choćby najprostsze, lecz nie odnotowane w podręcznikach zjawiska?...

Powtarzano nam parę razy na dzień, że człowiek siebie przedewszystkim i innych ludzi poznać winien. Siebie?... jakim sposobem, po

co?!.. Łatwiej już innych, nie tyle poznawać, ile raczej sądzić, rozumie się na podstawie plotek, któremi świat nas prawie od dzieciństwa wykarmił.

Mówiono nam, że nieśmiałość, niepraktyczność, rozrzutność są to wady gubiące ludzi, i że ich ze wszystkich sił wystrzegać się należy. Lecz czy uczono nas: śmiałości, praktyczności, oszczędności?.. Nie. Uczono nas obcych języków, muzyki, rysunku i tańca; według bowie opinii ogólnej, umiejętności te nabywają się tylko przez wprawę. A czy cnoty ekonomiczne, moralne i towarzyskie nie potrzebują wprawy?... Nie,—tych bowiem ludzie od niepamiętnych czasów uczyli się tylko ze słyszenia!

Jak się uczyli, tak też i umieją.

I ktokolwiek zadawał sobie pracę porównywania przymiotów męzkich i kobiecych, ten wyznać musi, że kobiety w ogóle są praktyczniejsze, oszczędniejsze od mężczyzn, umieją więcej panować nad sobą i są bez porównania lepszemi obserwatorkami.

Skąd to pochodzi?

Czy może z organizacyi kobiecej? Bynajmniej,— na tym bowiem gruncie opiera się wyższy stopień uczuciowości płci żeńskiej. Jestże to więc skutkiem wychowania? Najniezawodniej.

Rzućmy bowiem choć pobieżne spojrzenia na różnicę w wychowaniu chłopców i dziewcząt.

W tej epoce kiedy chłopiec na swym koniu przewraca sprzęty, dom napełnia wrzawą a biczem wybija oczy rodzeństwu, — dziewczyna zajmuje się swoją małą kuchnią, ubiera, opiera i obszywa swoję lalkę. W tej zaś epoce, kiedy szesnastoleni wyrostek kształci się w paleniu papierosów i grze bilardowej, jeżeli nie oddaje się czemuś gorszemu, siostra jego pomaga matce przy gospodarstwie, czuwa nad mniejszemi dziećmi i przyjmuje gości.

I możnaż się dziwić że ona jest praktyczniejszą? i czy godzi się sarkać, jeżeli z czasem, to skromne i tkliwe dziewczę, wyszedłszy za przyjaciela swego brata, chce rozkazywać temu, któremu posłuszeństwo przysięgła?

Odbiegliśmy od rzeczy: celem bowiem niniejszej pracy nie są lamentacyje nad przeszłemi błędami, ani też rozmyślania nad wyższością niektórych przymiotów kobiecych, ale— wykazanie: jak należy rozwijać umysł dziecka.

Pogląd na tę kwestyją postaram się przedstawić w szeregu artykułów, jednę stanowiących całość. Bardzo wątpię, aby czytelnicy znaleźli tu coś nie słychanie nowego i doskonałego; spodziewam się jednak, że znajdą garść praktycznych wskazówek, które ułatwią im wielkie i bardzo mozolne zadanie wychowania. Wieki średnie, wieki dysput opartych na grze wyrazów, wieki patrzenia na wszystko oczyma kilku uprzywilejowanych filozofów, dawno minęły w historyi; na nieszczęście jednak dotychczas trwają w edukacyi. Pora i w niej już zrobić przełom, odsunąć książki na drugi plan, na stanowisko środków pomocniczych, a świeży i chciwy wrażeń umysł dziecka skierować ku faktom, ku naturze, tej odwiecznej i niewyczerpanej skarbnicy wszelkiej wiedzy ludzkiej.

CZĘŚĆ I.

Studyja przygotowawcze.

Zaczniemy przedewszystkiem od wyliczania i jak najtreściwszego określenia źródeł wiedzy. Jest ich cztery:

1-o Zmysły a) *zewnętrzne*, jak wzrok, słuch, dotyk, smak, powonienie, 2) *wewnętrzne*, jak zmysł mięśniowy, który powiadamia nas o oporze tudzież ruchach własnego ciała i zmysł czy też zmysły wewnętrzne te, które donoszą o głodzie, sytości, pragnieniu, znużeniu, rzeźwości, zadowoleniu, niezadowoleniu i t. d.

Pierwsze, to jest zewnętrzne łączą nas ze światem otaczającym, od którego za ich pośrednictwem odbieramy wrażenia; przy ich to pomocy poznajemy a raczej symbolizujemy sobie przedmioty, ich własność, zjawiska i związki między niemi istniejące. Zmysły wewnętrzne donoszą nam, przynajmniej o niektórych, fizyjologicznych i psychicznych zmianach, w samej naszej istocie zachodzących. Człowiek który nieposiada jakiegokolwiek ze zmysłów zewnętrznych (a kto wie czy podobne kalectwo nie dotyka i wewnętrznych?), jest tem samem pozbawiony mnóstwa wrażeń i pojęć na nich opartych, skutkiem czego wiedza jego o świecie jest niezupełna.

2-o *Tradycyja* stanowi drugie źródło wiedzy. Ona to, w epoce dzieciństwa, zmysłom naszym dostarcza wrażeń, których, pozostawieni wśród natury wyłącznie własnym siłom, moglibyśmy nie znaleść lub niedopatrzeć. Ona przyzwyczaja muskuły nasze do całych szeregów ruchów użytecznych, nad wynalezieniem których częstokroć pracowały wieki. Ona przez naukę mowy, myśli naszej dostarcza potężnego środka do odtworzenia w sobie natury i porozumiewania się z innemi ludźmi. Ona to wreszcie, za pośrednictwem książek, przelewa w umysł nasz doświadczenie milijonów ludzi, powiększa i uzupełnia w stosunku nie dającym się obliczyć, szczupły zakres bezpośrednio przez nas (na drodze obserwacyi) zdobytej wiedzy, której widnokręgi tak rozszerza, ża umysł człowieka obejmuje tysiące lat trwania i milijardy mil przestrzeni.

Z określenia tego czytelnik łatwo pozna, że wyrazem tradycyja, oznaczamy nietylko podania ustne, nietylko pisma, ale obrazy, rysunki i modele a nadto, naukę pewnych ruchów, czynności i sposobów postępowania, które przekazują nam ludzie, a bez przekonania nie byłoby postępu, tak znakomicie wyróżniającego człowieka od innych stworzeń ziemi.

Ostatniem źródłem wiedzy jest *zdolność wnioskowania*, którą streścić można w następującem bardzo prostem prawidle: Gdy dwa jakiekolwiek szczegóły widzimy połączone z sobą tak, że w umyśle naszym jeden bez drugiego istnieć nie może, wówczas napotkawszy jeden z tych szczegółów, twierdzimy, że i drugi istnieć musi.

Naprzykład, ile razy dotknęliśmy palcem ognia, tyle razy uczuliśmy ból; zobaczywszy więc że ktoś kładzie palec w ogień, przepowiadamy że się sparzy, a dalej, że cofnie rękę, syknie i t. d. W czasie burzy zawsze widzimy, że po błyskawicy wcześniej czy później następuje grzmot i na tej zasadzie ujrzawszy w oznaczonych warunkach błyskawicę, przepowiadamy, że zaraz słyszeć się da hałas.

Zdolność wnioskowania, jest to władza bardzo potężna; sądzimy, iż najdobitniej scharakteryzuje się ją powiedziawszy, że ona to, w połączeniu z pamięcią, pozwala nam korzystać z naszych doświadczeń poprzednich, a tem samem znakomicie rozszerza indywidualną i zbiorową wiedzę, tak w przestrzeni jak i w czasie. Pamiętać jednak należy, że wnioskowanie i w ogóle rozumowanie, nie stwarza nowych pierwiastków wiedzy, ale tylko przerabia i kombinuje już znane. Z tego powodu człowiek ślepy mógłby milijony lat rozumować o kolorach, a mimo to o żadnym z nich nie wyrobić sobie najmniejszego pojęcia. Z tego też powodu filozofowie, którzy (jak wszyscy zresztą śmiertelnicy,) rozporządzają tylko wrażeniami zmysłowemi, o rzeczach nadzmysłowych rozprawiać mogą ze skutkiem tak dobrym, jak ślepi o kolorach, choćby się nawet powoływali na elektryczność dynamiczną, rachunek różniczkowy, przyciąganie w odpychaniu, a nawet bezświadomą wolę.

Oto są trzy źródła, z których wiedza ludzka czerpie swój bogaty materyjał. Czy po za obrębem ich istnieją inne?. Może istnieją, może nie istnieją, w każdym jednak razie nie obchodzą nas dla dwu powodów. Pierwszym jest ten, że jeżeli istnieją, to wymykają się z pod wszelkich prawideł, a nawet naukowej obserwacyi, posługiwać się więc nimi niepodobna. Drugi jest ważniejszy, a mianowicie: że wszystkie nasze wiadomości z jakich korzystamy bądź w życiu codziennym, bądź w nauce, z wymienionych tylko źródeł pochodzą.

Przechodzimy do ostatecznych wniosków. Mamy zatem, do podniesienia umysłu naszego wychowańca trzy dźwignie: jego zmysły, zdolności wnioskowania i cały obszar tradycyi, pytanie: co z tym fantem zrobić? w jaki sposób posługiwać się temi dźwigniami?

Przedewszystkiem zwróćmy uwagę na następujący szczegół, ten mianowicie: *że dwa z wymienionych źródeł wiedzy, są zależne od trzeciego* t. j. wiedza płynąca z wnioskowania i wiedza płynąca z tradycyi, opierają się na wiedzy zmysłowej.

I tak:

Na żądanie, mogę ci czytelniku nadesłać rysunek planety Saturna, pod warunkiem, abyś mi powiedział co robią jego mieszkańcy np. o godzinie dziewiątej wieczór?

Na pytanie to prawdopodobnie ruszyłbyś ramionami i odparł:

— U nas, o dziewiątej, jedni idą spać, inni siedzą w teatrze lub w traktyjerni, jeszcze inni wybierają się na bal. Lecz skądże ja kochanemu panu odpowiem co robią Saturnici o tej porze? Jak żyję nie widziałem ich, nie znam ich obyczajów, a na podstawie obiecanego rysunku, żadnego wniosku oprzeć nie mogę.

Prześlicznie! Przypomnij sobie jednak czytelniku ile to żądań podobnych codzień stawiasz swemu wychowańcowi. Każesz mu np. z mapy wyuczyć się formy kraju, chociaż nie objaśniłeś mu w jaki sposób robi się mapa. innym razem gniewasz się, że nie rozumie fizyki, którą mu tak jasno wykładasz, ba! nawet rysunkami objaśniasz. Jakże on biedak ma rozumieć jedno i drugie, jak ma wyprowadzać

wnioski, kiedy nauka jego nie ma innych realnych, zmysłowych podstaw, oprócz drukowanych i wymawianych wyrazów?

Wnioskować więc nie można, nie oparłszy się na bliższem doświadczeniu. Zobaczmy o ile można rozumieć objaśnienia.

Dajmy na to, że opisuję dziecku ananas i powiadam; ananas jest z wielkości podobny do buraka, z formy do szyszki, z koloru do dojrzewającej pomarańcy; ma przytem ananasowy smak i zapach.

O ile dziecko zrozumie to objaśnienie? O tyle, o ile zna: kolor, wielkość, formę, a także co znaczą wyrazy: jest podobny.

Gdy te elementa objaśnienia dokładnie wiadome są dziecku, wówczas na podstawie ich, utworzy sobie (przynajmniej od biedy), nowe wyobrażenie. Gdy którykolwiek z nich będzie nie znany, nowe wyobrażenie okaże się niezupełnem, a może i kompletnie fałszywem.

Tak więc: *podstawę ukształcenia umysłu muszą stanowić liczne, rozmaite, i dokładne wyobrażenia zmysłowe.*

Wykazać jakim sposobem możemy dopomódz dziecku do wytworzenia licznych, rozmaitych, dokładnych, a tak w wystarczającej dla praktycznych celów ilości, wyobrażeń zasadniczych i opartych na nich pojęć, — oto cel niniejszej części, która rozpada się na następne oddziały:

A. Badanie Własności.
B. Badanie Zmian.
C. Badanie Przedmiotów.
D. Badanie Zjawisk.
E. Oddziaływanie wzajemne przedmiotów na siebie.
F. Świat wewnętrzny.

d. c. n.

POGADANKI OGRODNICZE.

Przez
Edmunda Jankowskiego.
Kandydata nauk przyrodzonych
Starszego ogrodnika w ogrodzie pomologicznym w Warszawie.

II.

*Położenie sadu *)—wystawa—ogrodzenie—wyznaczenie miejsc dla drzew—ich odległość.*

Jak na ludzi i zwierzęta odmiennie działa klimat gór a odmiennie dolin, inaczej płaskowzgórzy, inaczej znów nadmorskich pobrzeży, tak też i dla roślin a w szególności dla drzew, nie jest rzeczą obojętną w jakiem znajdują się wyniesieniu nad poziom morza, czy otacza je powietrze, ciągle wilgotne i mgliste choć łagodne, czy też suche a zimne.

Ze względu na ogólny stan drzew i ich płodność, nie powinno się sadzić drzew na górach nieco wynioślejszych; ostre wiatry szkodzą kwiatom strącając je jak również i owoce, a choć drzewa takie zahartowane są na zimno lepiej od innych, to jednak często mróz je niszczy. Skutecznie z nim walczy jedna tylko jabłoń która pokrywa stoki alp szwajcarskich, tworząc sady z licznych pięknych odmian złożone, obficie cały kraj owocami zasilające. Niskie, głębokie doliny w których zwykle płyną rzeki lub strumienie mają klimat łagodniejszy, i bardziej owocowym drzewom sprzyjający, lecz zimne mgły wiosenne osiadają drobnemi kropelkami na kwiatach, w skutek czego pylniki otwierają się przedwcześnie, pyłek się psuje, zapłodnienie a więc i wydanie owoców miejsca mieć nie może. Stąd w dolinach rzadko które lato w owoce obfituje.

Najodpowiedniejszem *stanowiskiem* dla ogrodu są szerokie doliny lub niskie płaskowzgórza, wreszcie spokojne podnóża gór — miejsca o klimacie łagodnym, zimie niezbyt mroźnej, lecie dostatecznie ciepłem a nadewszystko nie dotknięte gwałtownemi przeskokami od ciepła do zimna.

Po stanowisku ważną rolę gra *wystawa*, czyli pochylenie gruntu w jedną z czterech stron świata. Wystawa południowa jest najcieplejsza, wschodnia mniej ciepła, lecz najsuchsza ze wszystkich, zachodnia ciepła także ale bardzo wilgotna, północna nakoniec i zimna i wilgotna. W tej ostatniej kwiaty cierpią jak w głębokich dolinach, drzewa łatwo marzną a owoce późno dojrzewają, dla tego też wystrzegać się trzeba zakładać ogród w wystawie północnej. Wszystkie inne są dobre, choć zachodnia nieco zawilgotna, co kwitnieniu przeszkadza, a na owocach plamy wywołuje. Najlepsza dla nas jest wschodnio-południowa.

Grunt powinien być lekko pochylony. Jeżeli spadek jest zbyt gwałtowny, deszcze wypłukują dobrą ziemię z pomiędzy korzeni i unoszą ją do stóp pagórka. Na stokach gór można także zakładać ogrody, gdy inaczej być nie może, lecz wtedy trzeba sypać tarasy.

Najlepiej *ogrodzić* sad murem lub płotem jeżeli kogo stać na to. Zamiast muru można się posłużyć żywym płotem. W takim razie należy użyć jedno lub dwuletnich drzewek głogu pospolitego, sadzić we 2 rzędy odlegle o 6 cali, także o 6 cali drzewko od drzewka, przycinać corocznie na wiosnę raz, w lecie drugi raz ogrodniczemi nożycami, nie puszczając płotu wyżej w górę nad 2 łokcie, grubości dosyć będzie miał żywy płot 12 cali do 1 łokcia. Inny sposób robienia żywych płotów nie dawno zastosowany, polega na tem, że się głóg sadzi w jeden rząd co 3 cale drzewko od drzewka i pozwala mu się swobodnie rosnąć przez lato. Następnej wiosny naginają się gałązki pierwszego drzewka — w kierunku długości płotu i przypinają do ziemi kulkami (drewniane haczyki), za pierwszem drzewkiem nagina się drugie, trzecie i t. d. cały szereg, z czego utworzy się na ziemi leżący warkocz, z głogu spleciony. W ciągu lata z każdego oczka wyjdą pędy które przyjmą położenie prostopadłe, od dołu warkocz się zakorzeni będąc w ciągłem zetknięciu z wilgotną ziemią i tym sposobem w kilku latach otrzymamy gęsty, równy trudny do przebycia żywopłot głogowy.

Táki żywopłot, jak i wszystkie inne ma tę niedogodność, że na kilka stóp w odległości od niego nic sadzić nie można, prócz tego czekać nam trzeba lat kilka.

Rowy są najgorszym sposobem ogrodzenia; ziemi zabierają dużo, a ogrodu nie osłaniają, z drugiej jednak strony osuszają zbyt wilgotny grunt. Jeżeli sad ma być rowem obwiedziony, to najlepiej ziemię z rowu wyrzucić na jedną stronę, przez co utworzy się wał, boki zaś rowu i jego dno obsadzić tarniną lub głogiem. Gdy się te drzewka rozrosną, ogrodzenie staje się prawie do przebycia niepodobnem.

Zanim ziemię pod drzewa przygotujemy, wypada grunt *podzielić.* W tym celu prowadzi się dwie drogi na krzyż przez środek ogrodu, szerokie każda na 2—3 metrów, prócz tego w około ogrodu prowadzić powinna droga tejże szerokości, przytykająca do żywego płotu lub wału, lecz od muru lub parkanu oddalona na 3 łokcie pozostawione na grzędę, na której wybornie można winorośl i brzoskwinie lub morele posadzić żeby z muru skorzystać. Jeżeli przestrzeń jest zbyt wielka, każdy kwadrat wypada jeszcze raz podzielić dużemi drogami pod kątem prostym przecinającemi się.

Żeby módz wyznaczyć miejsce pod drzewa, należy wiedzieć *jakie gatunki sadzić* nam wypada; przy tem pamiętać potrzeba, że grusze i wiśnie lubią grunt suchy, głęboki, że pierwsze z nich wapna nie znoszą gdy drugim ono jest pomocne, jeżeli nie w zbyt znacznej ilości w gruncie się znajduje. Jabłonki wymagają gruntu wilgotniejszego, a najwilgotniejszego śliwy, które w zupełnie mokrym nawet gruncie, (byleby wolnym od wody stojącej) udają się. Kto zatem na jednym obranym kawałku ma rozmaite stanowiska co do suchości, niechże wiśnie sadzi w miejscu najsuchszem, blisko nich grusze, w niższem położeniu jabłonki, a w najniższem śliwy, a to bez względu na odmiany.

Odległości w jakich się drzewa wysokopienne sadzić powinno, niezmiernie ważną są rzeczą. Zwykle u nas żeby z miejsca lepiej skorzystać, sadzą drzewa co 6 łokci a nawet i bliżej, nie uwzględniając siły ich wzrostu ani żyzności ziemi. Powstają z tego gęste zarośla; drzewa cieniują się wzajemnie co szkodliwie wpływa na kwitnienie, smak i barwę owoców, a nadewszystko korzenie ich stykają się ze sobą odbierając sąsiadom pokarm. W skutek tego drzewo ginie często o 20 lat wcześniej niżby to nastąpiło przy sadzeniu w odpowiedniej odległości, że zaś korona jego dobrze jest rozrośnięta, tracimy zatem kilkunastoletnią produkcyję owoców ze znacznej przestrzeni.

Gęste sadzenie szczególnej zadziwiać musi w krajach jak nasz, dosyć w ziemię bogatych i jeżeli gdziekolwiek to w naszych sadach, drzewa powinny dostawać tyle gruntu, światła, ciepła i powietrza, ile to dla ich zdrowia jest potrzebnem.

Powinno się sadzić: jabłonki, czereśnie i prawie wszystkie grusze w odległości 12—15 łokci na zwykłym gruncie, a 15—18 na bardzo żyznym. Niektóre grusze rosną piramidalnie, i dla takich odległość 8—10 łokci wystarcza.

Śliwy, wiśnie i morele sadzi się co 8—10 łokci.

*) *Sadem* nazywać będziemy przestrzeń ziemi obsadzoną drzewami wysokopiennemi, *ogrodem* zaś miejsce zapełnione drzewami formowanemi i ciętemi corocznie podług zasad.

Bardzo często ogrodnicy dla skorzystania z gruntu chwytają się pewnej taktyki: sadzą grusze i jabłonki w odległości 18—20 łokci, a w pośrodku grusz wiśnie, w pośrodku zaś jabłonek śliwy. W tym razie, zanim drzewa ziarnkowe rozrosną się, pestkowe (wiśnie i śliwy), które żyją krócej obumierają, zostawiając miejsce wolne.

GOSPODARSTWO
i przemysł domowy.

Godne naśladowania urządzenie. Tow. roln. kantonu Zürychskiego, swoim kosztem każe uczyć w szkole ogrodniczej w Rheinau, uprawy warzywa i kwiatów, dając uczennicom prócz tego jeszcze na koszta podróży i po 1 franku dziennie, jako dodatek do kosztów utrzymania. Sądzimy, że to urządzenie jest godnem naśladowania, bo ono zapewnia niejednej kobiecie utrzymanie, a jest rzeczą powszechnie wiadomą, że się kobiety chętniej zajmują uprawą warzywa i pielęgnowaniem kwiatów, niżeli mężczyzni. Nawet nasze panie mogłyby się przyczynić do powiększenia dochodów z gospodarstwa, jgdyby się z zamiłowaniem a z wyraźną tendencyją ciągnienia korzyści, zajmować chciały uprawą warzyw i produkcyją nasion traw, warzyw i kwiatów.

Badanie mleka. Profesor Sacs wykazał, że dochodzenie, czy mleko jest sfałszowanem, za pomocą laktodensymetru (rodzaju areometru) jest niemożliwem, a przynajmniej nie dającem pewnego rezultatu. Podaje on prostsze postępowanie. Mające się próbować mleko, miesza się z równą ilością spirytusu, mającego 70° Tral. skutkiem czego się ono zważy. Jeżeli mleko nie było sfałszowane, to w skutek tej operacyi, w mieszaninie tyle ono miejsca,co poprzednio zajmuje, a twarog podnosi się na powierzchnią płynu. W przeciwnym razie, mleko mniejszą przestrzeń zajmować będzie, a twaróg nie wznosi się na powierzchnią, lecz pozostanie zanurzonym.

Smoła z kamiennych węgli, jako środek przeciwko robactwu. Pewien ogrodnik z oszczędności zamiast farbą pomalował szpaler w oranżeryi smołą z kamiennych węgli. Stało się to zimą. Następnej wiosny spostrzegł on ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że wszystkie pająki i inne owady zwykle w oranżeryi się gnieżdżące i żyjące znikły, i że nawet winna macica, która już od dwóch lat chorowała i skutkiem tego miała być wykopaną, przyszła do siebie i najobfitszy plon obiecywała. To spowodowało go pomalować wszystkie pale drzew owocowych smołą z kamiennych węgli i w ten sposób pozbył się wszystkich gąsiennic i szkodliwych owadów. We Francyi próby zrobione w tym kierunku w winnicach najlepsze wydały rezultaty.

Możeby i u nas skutkował ten nader tani środek.

ZA WOJENNYM ŚLADEM
POWIEŚĆ
ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH
KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

I w tej samej chwili, skierował karabin na Iżurrę.

— Zatrzymaj się Holingsworth zatrzymaj! zawołałem—spinając konia ostrogą i podbiegając ku adjutantowi.

Chociaż mój dzielny Moro poskoczył jak strzała i pozwolił mi uchwycić za ramię Holingswortha, spóźniłem się by przeszkodzić wystrzałowi, ale zdążyłem aby cios odwrócić. Kula zamiast strzaskać głowę Iżurry, coby z pewnością stało się było bez mojej interwencyi uderzyła w paperet, obsypując Senora Iżurrę gęstym tumanem kurzu.

Aż dotąd meksykanin nie zdradził by najmniejszego usiłowania ucieczki, zdawało się że ogłuszony hukiem onieprzytomniał na chwilę. Dopiero gdy się rozwiał dym który go oślepiał, gdy spostrzegł że przeciwnik jego nabija broń na nowo, pomyślał że trzeba zmykać.

Zbliżyłem się wtedy do mego towarzysza i rzekłem dość surowo:

— Adjutancie Holingsworth. rozkazuję ci.

Kapitanie Warfield, odpowiedział mi stanowczo, możesz mi rozkazywać we wszystkiem, co się odnosi do służby, a ja będę Ci posłusznym. Ale to jest sprawa prywatna i przez Boga żywego sam jenerał nawet... Ba.. tracę tylko czas, ten zbójca mi umknie.

I zanim mogłem mu przeszkodzić Holingsworth popędził konia i galopem poleciał pod sklepienie bramy.

Pospieszyłem za nim i znalazłem się na podwórzu, prawie razem z nim, za późno jednak żeby mu przeszkodzić w przedsiewziętym zamiarze.

Schwyciłem go w prawdzie za rękę ale mi się wyrwał z siłą jaką mu dawało postanowienie i skoczył na ziemię, z pistoletem w ręku rzucił się na schody, słyszałem jak uderzał pałaszem po kamiennych płytach i straciłem go z oczu po za ścianą tarasu.

Leciałem za nim o ile tylko starczyło mi sił, ze schodów słyszałem na górze głośną rozmowę, trzask rzeczy rzucanych o ziemię, nakoniec dwa wystrzały z pistoletu a zarazem jęk i przeraźliwy krzyk kobiety.

Jeden z nich nie żyje pomyślałem sobie. A dostawszy się na taras, zastałem wszystko w głębokim milczeniu, nie zobaczyłem już nikogo.

Miejsce to podobne było do ogrodu pełnego kwiatów, krzewów, a nawet drzew rosnących w olbrzymich wazonach. Nie mogłem ich zobaczyć, nieszczęśliwi zasłonięci byli drzewami.

Latałem z jednego końca w drugi po całym tarasie, doniczki były świeżo potłuczone, stąd pochodził zapewne hałas który słyszałem wchodząc, ale nie znalazłem ani Iżurry ani Holingswortha. Może obadwa leżeli gdzie pomiędzy powywracanemi krzewami, bo przecie były dwa wystrzały. Ale gdzie kobieta co tak przeraźliwie krzyknęła.

Czyżby to była Isolina.

Cały pomieszany skoczyłem na drugą stronę tarasu, tam zobaczyłem schodki prowadzące do środka domu.

Tędy musiała zejść kobieta co tak krzyknęła.

Wahałem się chwilę co mam z sobą zrobić, kiedy usłyszałem krzyk i nowy wystrzał z pistoletu.

Przeleciałem znowu taras i wyjrzałem na dół.

Dwóch ludzi leciało pędem jeden za drugim z pagórka, ostatni trzymał dobyty pałasz w ręku. To Holingsworth gonił Iżurrę, który wyprzedził go nieco, bo Holingsworth uzbrojony nie mógł lecieć tak prędko. Meksykanin widocznie starał się dosięgnąć lasu rozciągającego się u stóp pagórka, jakoż niebawem wpadł pomiędzy drzewa i straciłem go z oczu.

Holingsworth poleciał za nim jak ogar za śladem, i zniknął także w tym samem kierunku.

Chcąc jeszcze przeszkodzić rozlewowi krwi zeszedłem prędko z tarasu, skoczyłem na konia i galopem puściłem się za niemi. Przybywszy na brzeg lasu, w którym obadwaj się zagłębili, leciałem czas jakiś za ich śladem, ale straciwszy go zatrzymałem się.

Słuchałem uważnie, żadnego głosu, żadnego wystrzału, dochodziły mnie tylko krzyki i głosy pasterzy z drugiej strony pagórka, to mi przypomniało mój obowiązek zawróciłem konia i skręciłem drogą ku hacyjendzie.

Milczenie panowało na około, nikt się nie pokazywał, mieszkańcy domu pochowali się do pokojów, zabarykadowali i siedzieli w ciemności, z obawy pewnie, żeby ich nie napadnięto nie zrabowano i nie wymordowano.

Nie wiedziałem co robić, tak ten szczególniejszy postępek Holingswortha pomieszał mi szyki, powinienem był zobaczyć się z don Ramonem, ale nie wiedziałem jak mu się wytłomaczyć. potrzebowałem raczej sam wyjaśnienia. Z prawdziwie przykrą obawą zdecydowałem się pojechać.

Zostawiłem kilkunastu szeregowców z rozkazem czekania powrotu Holingswortha, a później połączenia się z nami, a sam z adjutantem Wheathlejem, na czele ogromnego stada puściłem się w drogę do obozu.

ROZDZIAŁ X.
Rafael Iżurra.

Jechałem w złym humorze bo gorąco i kurz nie pomagały do uporządkowania myśli wzburzonych tym nieprzyjemnym wypadkiem. Nie byłem w cale zadowolniony z pierwszego mojego adjutanta, którego postępek był dla mnie zupełną tajemnicą. Wheathlej gubił się także w domysłach. Musiała to być dawna nienawiść, takie było zdanie nas obu.

Holingsworth nie był człowiekiem zwyczajnym, była to przeciwnie osobistość z wyjątkowem charakterem—był towarzyszem wesołym ubierał się na pół po meksykańsku, zdolny dosięść dzikiego konia i ciskać arkan jak pierwszy lepszy pasterz. Był prawie Tekseńczykiem z urodzenia, dawno zapisany do wojska chociaż młody jeszcze był, że się tak wyrażę starym wyjadaczem indyjskim, prawdziwy szeregowiec Tekseński.

Chociaż Teksas od kilku lat było przybraną ojczyzną Holingswortha nie był on Tekseńczykiem, pochodził z Tennessee i nie jeden raz przebywał rzekę Grandę.

Żołnierz nieszczęśliwej wyprawy *do Mier* wyszedł z niej poprowadzony w kajdanach do Meksyku, gdzie był zmuszony pracować zanużony po sam pas w ściekowym kanale, przerzynającym ulice.

Podobne przejście tłomaczyło wyraz surowy jaki miał zawsze na twarzy. Nie widziałem go śmiejącego się nigdy. Mówił niewiele i to najwięcej w przedmiocie odnoszącym się do służby, ale od czasu do czasu kiedy myślał że jest sam, słyszałem go miotającego przekleństwa, z dziwnem wykrzywieniem twarzy ręce zaciskał gwałtownie jak gdyby miał przed sobą śmiertelnego nieprzyjaciela; nieraz spostrzegałem to niezwykłe uniesienie ale nie mogłem się domyśleć jego przyczyny.

Hardinga Holingswortha nie każdy by się ośmielił zapytać o powód tego dziwnego postępowania.

Odwaga jego była dobrze znaną Tekseńczykom, bo inaczej nie byłby figurował pomiędzy ich oficerami.

Podczas drogi Wheathlej i ja staraliśmy się zdać sobie sprawę z dziwnego wystąpienia Holingswortha i zdecydowaliśmy, że musiała to być jakaś dawna nienawiść, sięgająca jeszcze czasów wyprawy *do Mier*, kiedy przypadkiem wymieniłem nazwisko Meksykanina, (Adjutant Wheathlej zajęty bydłem nie widział Iżurry) Iżurra krzyknął, zatrzymał konia i spojrzał się na mnie.

— Tak Iżurra

— Rafael Iżurra...

— Tak Rafael mu na imię...

— Duży chłop ogorzały, noszący wąsy i faworyty... dosyć przystojny...

To samo słowo w słowo...

Jeżeli to ten sam Iżurra który przebywał w Saint-Antonio to nie jeden Tekseńczyk pragnąłby go ze skóry obedrzeć. Tak to ten sam to on być musi, niema drugiego tego samego imienia i nazwiska. Tak to on z pewnością...

— A cóż wiesz o tym człowieku?..

— To że jest największym łotrem w całym Teksas albo w całym Meksyku, ale i to jeszcze za mało powiedziane. Rafael Iżurra! niepodobna żeby to był kto inny, Rafael Iżurra i Holingsworth... Aha to ten sam ptaszek a Harding Holingsworth, więcej jak ktokolwiek inny, ma prawo pamiętać go dobrze...

— Co to takiego wytłomacz że mi to przecie...

Tekseńczyk zastanowił się chwilę jakby dla zebrania myśli i zaczął mi opowiadać o Rafaelu Iżurra. Oto treść tego opowiadania.

— Rafael Iżurra jest Tekseńczykiem pochodzenia Meksykańskiego. Kiedyś był właścicielem hacyjendy w okolicach San-Antonio i kilku znacznych majętności, ale wszystko to przegrał lub przechulał tak, że w końcu z biedy puścił się na nędznego gracza z profesyi. Do czasu wyprawy *do Mier* uchodził za obywatela Tekseńskiego i wygłaszał gorące przywiązanie do młodej republiki.

Kiedy postanowiono ową awanturniczę wyprawę *do Mier*, Iżurra dzięki licznym jakie miał stosunkom, został przyjęty do służby jako oficer, tym łatwiej że nikt nie wątpił o szczerem jego przywiązaniu do kraju.

— Był on jednym z tych co na zgromadzeniu w Lerado popierali nierozsądne zdanie, maszerowania na Mier—a uwagom jego dodawało znaczenia to, iż znał dokładnie okolicę bo się w niej urodził. Dowiódł jednakże aż nadto prędko że łaskawe jego rady miały wyłącznie na widoku, interes nieprzyjaciela z którym w tajemnych zostawał stosunkach.

W noc poprzedzającą bitwę, Iżurra zniknął z placu, a mała armija dostała się do niewoli, po świetnej obronie, w której Tekseńczycy zabili więcej nieprzyjaciół aniżeli mieli własnych żołnierzy. Jeńcy odesłani zostali pod eskortą do Meksyku. Cóż to za straszne było zdziwienie niewolników, gdy drugiego czy trzeciego dnia marszu, zobaczyli Iżurrę w mundurze Meksykańskim należącego do eskorty wojennej... Gdyby nie kajdany jakie dźwigali na rękach byliby go rozerwali w kawałki, za taką nikczemną zdradę.

— Nie należałem do tej smutnej sprawy ciągnął dalej adjutant, bo na szczęście byłem wtedy chory, w przeciwnym wypadku byłbym niezawodnie dzielił smutne losy moich biednych towarzyszów... Ah Holingsworth... on szczególniej musi pamiętać Iżurrę—teraz przypominam to sobie dokładnie i powtórzę panu historyję jak ją znam z opowiadania.

I po tych słowach mój towarzysz zaczął opowiadanie co mi dziś jeszcze na wspomnienie, krew w żyłach ścina.

W wyprawie do Mier, Holingsworth miał brata który się także dostał w ręce nieprzyjaciół. Był to człowiek młody, nadzwyczaj delikatny, nienawykły do niewygód, a tym mniej do barbarzyńskiego obchodzenia się, na jakie byli narażeni jeńcy, podczas tego smutnego pochodu. Wyglądał jak szkielet a co gorsza zapadł na nogi i nie mógł wytrzymać boleści jakie mu sprawiały, kolczate rośliny obficie rosnące na spiekłych gruntach Meksyku. Omdlał i upadł prawie umierający na drodze...

Iżurra dowodził ekskortą — do niego więc odniósł się brat Holingswortha z prośbą, aby choremu pozwolił wsiąść na muła. Ten młody człowiek znał Iżurrę jeszcze z Saint-Antonio i pożyczył mu nawet kiedyś pieniędzy których nie oglądał więcej.

— Wstawaj i marsz, odpowiedział na tę prośbę Iżurra.

— Nie mogę postąpić ani kroku odpowiedział jeniec.

— Nie możesz?.. No zaraz to zobaczymy... Hej Sablo chodźno tutaj krzyknął zwracając się do jednego z żołnierzy eskortujących, chodźno i daj parę ostróg temu paniczowi, bo widocznie jest znarowiony...

Nędznik ów zbliżył się z bagnetem i chciał uderzyć biednego kalekę, który podniósł się z największem wysileniem i chciał iść dalej, ale sił mu zabrakło. Niepodobna mu było dłużej wytrzymać okropnej męki, zrobiwszy więc dwa czy trzy kroki, upadł bez duszy na skałę.

— Nie, nie mogę zawołał, nie mogę iść dalej! pozwólcie mi umrzeć tutaj...

— No naprzód i prędko bo cię jak psa zabiję krzyknął Iżurra, wyciągnął pistolet z za pasa nabił go z widocznem postanowieniem spełnienia swojej piekielnej groźby. — Na przód!..

— Nie, to nie podobna szeptał słabym głosem jeniec...

— Naprzód albo ci w łeb wypalę...

— Zabij mnie... zabij... zawołał młody człowiek odchylając koszulę i robiąc ostatnie wysilenie żeby się podnieść...

Nie wart jesteś więcej jak dostać kulą, odpowiedział ze śmiechem Iżurra i wycelowawszy w piersi dał ognia...

Kiedy dym się rozszedł, zobaczono młodego Hoslingswortha rozciągniętego u stóp skały.

Okrzyk zgrozy przeleciał w szeregach niewolników, nawet barbarzyńscy strażnicy oburzyli się na ten okrutny postępek.

Brat nieszczęśliwej ofiary znajdował się o kilka odeń kroków i silnie skrępowany patrzył na tę okropną scenę.

Łatwo zapewne odczuć ile cierpiał w tej chwili.

Nie dziwię się bynajmniej ciągnął Tekseńczyk, że Holingsworth nie pyta gdzie i kiedy może zabić Rafaela Iżurrę, myślę nawet że obecność naczelnego choćby wodza, nie byłaby mu żadną w tym razie zawadą. Nie, w jego postąpieniu nie ma nic a nic nadzwyczajnego.

W nadziei dowiedzenia się od opowiadającego jakich szczegółów o familii zamieszkującej w hacyjendzie, skierowałem rozmowę na ten przedmiot.

— Czy don Ramon de Vargas nie jest wujem Iżurry?..

— Tak... jest jego wujem powinienem go był poznać dziś rano, ale przeklęty mezcal, którego za dużo wypiłem, wybił mi to wszystko z pamięci. Widywałem często tego starca... Bywał co rok w Saint-Antonio a przypominam sobie nawet, że raz przywiózł ze sobą córkę, śliczną co się zowie dziewczynę. Przysięgam na moję duszę że zawróciła głowy połowie młodych ludzi w Saint-Antonio a pojedynkom końca nie było. Ma ona zwyczaj dosiadania dzikich koni i rzuca arkanem jak komanczyk. Ale co ja panu o tem opowiadam, ten przeklęty mezcal poszedł mi widocznie do głowy... Założę się, że to ją pan tak kiedyś zawzięcie goniłeś...

— Być może odpowiedziałem obojętnie.

Towarzysz mój nie domyślał się jaki interes obudzały we mnie jego uwagi i jakiej siły było mi potrzeba do ukrycia uczucia jakie mnie ogarniało.

— Jednej rzeczy chciałem się dowiedzieć co prędzej od niego, chciałem wiedzieć przedewszystkiem, który z zakochanych był łaskawie przyjęty przez nią.

— Miałem się ochotę oto zapytać ale obawa niemiłej odpowiedzi zatrzymała mi wyrazy na ustach.

Przerwaliśmywkrótce rozmowę posłyszawszy za sobą odgłos kilkunastu koni. Byli to szeregowcy których pozostawiłem w hacyjendzie, a na ich czele Holingsworth.

— Kapitanie Warfield odezwał się ten ostatni, moje postępowanie zdziwiło pana zapewne, ale postaram się wytłomaczyć je panu przy pierwszej lepszej zręczności. Długa to historyja i nader dla mnie smutna, nie pytaj o nią teraz. Niech na teraz wystarczy wyznanie, że Rafael Iżurra jest moim śmiertelnym wrogiem. Przybyłem do Meksyku ażeby zabić tego nędznika, i na rany Boga żywego, jeżeli mi się to nie uda, to mało mnie obchodzi kto już mnie kiedy zabiję.

— To więc nie...

Nie dał mi dokończyć bo zrozumiawszy o co się chciałem zapytać, prędko powiedział:

— Nie, nędznik wymknął mi się ale na...

I choć dokończył po cichu przysięgi, jego błyszczące oczy wytłomaczyły jaśniej jego zamiary.

Potem zajął swoje miejsce w szeregu i jechał milcząc pochyliwszy nisko głowę a oczami od czasu do czasu rzucając groźne spojrzenia.

ROZDZIAŁ XI.

Żółte Domino.

Następne dwa dni śpędziłem w gorączkowej niespokojności. Postępek Holingswortha pokrzyżował mi zupełnie plany. Z ostatnich wyrazów bileciku Isoliny obiecywałem sobie że zostanę zaproszony do hacyjendy i przedstawię się przyzwoiciej jak dotychczas, po tem jednak co zaszło tam, nie można było przypuszczać aby dobrze przyjęto naczelnika tego, który czychał na życie synowca gospodarza domu. Don Ramon wprawdzie upoważnił nas do rubaszności podczas najścia i sam brał w niej niezły udział, jednak obecnie niebyłby w stanie nie okazać mi chłodnego przyjęcia.

Szukałem usprawiedliwień i powodów ale niczego się doszukać nie mogłem. Dwa dni miotany straszliwą niepewnością, nic nie słyszałem o tej która zajmowała wszystkie moje myśli.

Nagle rozeszła się wielka nowina z kwatery głównej, była to zapowiedź balu jaki miał być danym w mieście.

Ta nowina to nie wyczerpany przedmiot do pogawędek które obijały mi się o uszy, ale nie obchodziły mnie wcale, nie miałem bowiem ochoty do tańca a szczególniej na ceremonijalnym zebraniu. Lubiłem to bardzo kiedyś, ale dziś straciłem do wszystkiego ochotę...

I byłbym zapomniał o wszystkiem, gdyby nie pewna okoliczność, która zajęła mnie bardzo.

A o to bal wydawała władza ze względów politycznych, widząc w nim sposób przyjacielskiego zbliżenia zwycięzców i zwyciężonych. Postanowiono nie szczędzić starań ażeby wciągnąć doń całe towarzystwo miejscowe i dać mu sposobność przekonania się, że oficerowie Jankeessów nie byli barbarzyńcami za jakich ich przedstawiono. Wiedziano, tak przynajmniej utrzymywał ten który dawał mi to objaśnienia, że kilka familij szlacheckich przyjęły już zaproszenia i że aby zabawę jak najponętniejszą uczynić a właściwie aby ośmielić tych którzy baliby się prześladowań malkontentów, zdecydowano że bal będzie maskowy.

Aha powiedziałem sobie, szlachta ma się znajdować a onaż?..

Zabiło mi gwałtownie serce, postanowiłem znajdować się na balu.

W składzie mojej szczupłej garderoby znajdowało się stosowne cywilne ubranie, a więc i wszystko czego mi było potrzeba.

Bal miał się odbyć nazajutrz nie będę więc długo oczekiwał.

Czas z tem wszystkiem upływał mi bardzo powoli ale przyszła nakoniec pożądana godzina, pojechałem do miasta i wkrótce byłem na miejscu, choć jak się pokazało trochę za późno przybyłem.

Wchodząc na salę balową zobaczyłem że większa część towarzystwa była już zebraną, że sformowały się już nawet grupy tańczących. Niektóre damy miały kostyjumy charakterystyczne chłopek, tyrolek, andaluzyjek, przekupek niemieckich, bajaderek, turczynek, indyjanek zawieszonych świecidłami.

Większość skrywała się pod dominami, zwyczajne stroje balowe były bardzo rzadkie.

Niektóre damy były w maskach inne zakryły się zgrabnym woalikiem hiszpańskim, bardzo wiele było takich które nie zasłoniły się wcale. *d. c. n.*

BIBLIJOTECZKA DOMOWA

Z obozu do obozu, powieść Michała Bałuckiego. Warszawa. Nakładem Redakcyi Przeglądu Tygodniowego 1874 r. t. 4:

Jest-to udatnie nader skreślona powieść i zarazem poważny niejako traktat, poruszający ważniejsze tętna życia społecznego. Autor przedstawia tu obszerną galeryją typów, które należą do dwóch przeciwnych obozów: arystokratycznego i demokratycznego. Przedstawicielem pierwszego jest hr. Medard wraz całym gronem otaczających go postaci. Konserwatyzm społeczny i religijny, oto główna cecha tego obozu. Obrońcy jego sądzą, iż w nim to zawierają się jedyne podwaliny bytu i porządku społecznego.

Po drugiej stronie stoi również cała galeryja typów z obozu demokratycznego.

Widzimy tu najróżnorodniejsze, często nawet wrogie sobie odcienia.

Najpotężniejszym z początku przedstawicielem tego kierunku jest A. Kowalski, dziecię gminu, wychowaniec hr. Medarda. Szlachetna duma i poczucie własnej godności, paląca gorączka czynu i ofiary na ołtarzu dobra społecznego i entuzyjazm szalony prawie, a przytym ambicyja z pewnym odcieniem egoistycznym, oto główne cechy tej postaci. Porzuciwszy dom swego opiekuna, który niepodległą duszę jego chciał skrępować siłą własnych przekonań, bohater nasz wyjechał za granicę i ztamtąd, po kilku latach, bogaty skarbami wiedzy i doświadczenia, powrócił do kraju i odrazu z całym zapałem wstąpił na arenę życia społecznego. Antoni był entuzyjastą. Nie umiał on wolnym krokiem dążyć ku wytkniętym celom, nie cierpiał mrówczej pracy, lecz chciał odrazu całą siłą potężnego ramienia zburzyć zapleśniałe podwaliny bytu społecznego. Zrażony pierwszem niepowodzeniem, widząc, że ci, dla których chciał życie całe poświęcić, nie zrozumieli go i nie przyjęli ofiary, rzuca nagle głoszone niedawno zasady i przechodzi do wrogiego obozu. Szybkie to odstępstwo zrzuca odrazu tę potężną postać z piedestału bohaterstwa i czyni wstrętną nawet w oczach czytelnika. Typ to wogóle chorobliwy, i nie wart stać pod sztandarem potężnej idei społecznej. Niedługo też szamotał się Antoni w tej atmosferze, do której dusza jego przylgnąć nie mogła, aż wreszcie złamały się skrzydła, które potężnym lotem miały kiedyś tłumom bratnim nowe wskazywać tory. Opuszczony przez kochankę, która wzgardziła nim, jako odstępcą, upadł w cuchnącą kałużę pijaństwa i rozpusty.

Dalej spotykamy typ zupełnie odmienny w postaci Urbana. Jest to krzykliwy zapaleniec, z osobistych bardziej pobudek nienawidzący arystokracyi. Rzucając na wszystkie strony ostrym mieczem paszkwilu i burząc zarazem lud przeciwko tym, którzy mogli dobrze pokierować jego sprawami, był on w sferze demokratycznej najbardziej wrogim dla niej samej żywiołem.

Widzimy tu dalej prawdziwych już kapłanów podniosłej idei społecznej, upatrujących szczęście ludzkości w sferze cichej pracy, której każda cegiełka buduje powoli wspaniały gmach dobrobytu i moralności, a łącząc pojedyncze siły węzłem wzajemnej pomocy, tworzy prawdziwą potęgę. Rysuje nam tu autor szereg szlachetnych i sympatycznych nader postaci. kreśli też jasnemi barwami pracowite życie obcej, niestety, osady fabrycznej.

Jedną z najgłówniejszych postaci powieści jest wychowaniec hrabiego, Władysław. Żyjąc od dzieciństwa w sferze arystokratycznej, prowadził on z początku życie puste, próżniacze, bez żadnego podnioślejszego celu. Lecz gdy syn hrabiego srogą obelgą przypomniał mu, iż jest po prostu żebrakiem, na cudzym żyjącym chlebie, pod pręgieżem tej myśli w duszy szlachetnego w gruncie młodzieńca, nieznana dotąd poruszyła się struna. W tym właśnie czasie poznał on po raz pierwszy życie pracy, tak różne od tej martwej odrętwiałości wśród sztucznej woni salonów. Ze wstrętem pożegnał hańbiącą przeszłość, pragnąc stanąć o własnej sile. stać się pożytecznym członkiem społeczeństwa i po długich usiłowaniach doszedł nareszcie do celu.

Z typów kobiecych zasługuje na uwagę idealna prawdziwie postać kochanki Antoniego, Jadwigi i uroczego dziewczęcia z duszą czułą, wrażliwą i na wskróś poetyczną—Kornelki.

Główną wadą, jakąbyśmy powieści p. B. zarzucić mogli, jest zbytnia różnorodność treści. Są tu ustępy, nie mające ścisłego związku z główną tendencyją utworu. Prócz tego, główną cechą talentu p. B. jest brak głębszego psychicznego kreślenia charakteru, obok świetnej, mistrzowskiej prawie zewnętrznej charakterystyki. Każda postać występuje tu żywo, pełnemi i wyrazistemi skreślona barwami. Zewnętrzna również budowa powieści nic prawie nie zostawia do życzenia. Estetyczne

prawdziwie wykończenie pojedyńczych obrazów i ten wdzięk nieporównany, który stanowi okrasę francuzkich powieści i komedyi, tworzą powabną szatę, w jaką autor przyobleka treść poważną i doniosłą, wolną zupełnie od zbytniej często lekkości francuzkich utworów.

W ogóle, powieść p. B. mimo pewnych drobnych usterek, których zresztą najlepszy powieściopisarz ustrzedz się nie zdoła, jest jednym z najcenniejszych nabytków, jakie w ostatnim roku zbogaciły piśmiennictwo nasze. Dajcie nam więcej takich powieści, a dla pewnych sfer zastąpią one choć w części suche i nie przystępne dla nich traktaty społeczne. Umysł ich spożyje również pożyteczne ziarna, w powabniejszą tylko przyobleczone szatę. Ileż bowiem najżywotniejszych i ważnych nader kwestyi poruszył tu autor, ileż zdrowych myśli wypowiedział, a wszystko to w formie pięknej, często nawet misternej, a zawsze nadobnej i poetycznej.

Poezyje Michała Bałuckiego. Kraków. Nakładem wydawnictwa „Kraju" 1874 r. t. 1.

Jest to spora wiązanka opisowo—lirycznych przeważnie pieśni, podzielona na 5 części. Najmniej udatną jest część pierwsza, nosząca ogólny tytuł: *Miłosne dzieje*. Płaczliwo-sentymentalny nastrój i brak siły poetycznej, przypomina nam nieco tuzinkowe elukubracyje domorosłych wieszczów naszych. Dowiadujemy się tu po tysiąc razy, że poeta kochał, że dusza jego na skrzydłach zachwytu i uniesienia rwała się ku niebu, że później doznawał rozczarowań i serce jego krwawiła sroga boleść. Niekiedy nawet odzywa się tu wstrętna nuta bajronizmu, np. w wierszu pod tytułum „Skarga". poeta żali się, że zawiść i obmowa ludzka rozłączyły go z lubą, i, gdy nielitościwy świat, „szczęście jego w grób chowa" on żyć musi— „życiem zmęczony". Zamiast szczerego uczucia, widzimy tu sztuczne pozowanie, zamiast potężnej nuty—niedołężny dźwięk kwilącej liry. Prócz kilku udatniejszych wierszyków, reszta mdła i bezbarwna. Jedyną prawie ozdobą tej części jest śliczny ustęp poetyczny p. t. „W grobowcu".

Niezrównanie lepszą jest część druga, nosząca ogólny tytuł *Scherzo*. Są to udatne dosyć wierszyki, lekko erotyczne, często z odcieniem humorystyczno-satyrycznym, ujęte w formę zgrabną, w niektórych miejscach nawet misterną („Sen o róży, Nie w porę, Przysięga dziewczyny.") Lecz i tu tak w treści, jak i w formie widać pewną jednostajność.

Najlepszą z całego zbiorku jest część trzecia, zatytułowana: *Obrazy i obrazki*. Bujna wyobraźnia poety piękne kreśli tu obrazy. Wszędzie koloryt świetny, uczucie silne i szczere. Szczególniej udatny pod względem obrazowości jest utwór p. t. „Na Czorsztynie." Najsilniejszą strunę porusza autor w wierszu p. t. „Dla chleba," gdzie odkrywa ranę społeczną—głód który zmusza biednego górala do opuszczenia ojczystych pól i rodzinnej chaty.

Część, przez pomyłkę nazwana piątą, a właściwie czwarta, zawiera utwór większego rozmiaru p. t. *Cicha miłość (obrazek z nad Wisły)* Są to w niezbyt udatny i powszedni sposób skreślone dzieje miłości. Tyle już na ten temat pisano, że tylko szczególna piękność formy, oryginalność lub większa podniosłość sytuacyi—może nadać pewne znaczenie utworowi tego rodzaju.

Ostatnią część stanowią udatne przekłady „Z *Hejnego i Uhlanda*.

A. Pilecki.

ŚLADY ŻYCIA.

IV.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Prawi się u nas wiele o nowo otwierających się polach kobiecego zarobku, mówi się też niemało o szczęśliwym zwrocie niewiast naszych do zajęć praktycznych i mogących im zapewnić byt samodzielny,—powiedzmyż więc słówko i o *donkiszoteryi kobiecej*. — Każda zresztą rada społeczna czy naukowa ma swoich błędnych rycerzy, nic więc dziwnego że i tak zwana kwestyja kobieca nie obeszła się bez nich. Ale oto jak się rzecz miała. W jednym z domów w Warszawie zbiera się towarzyskie grono podobnych emancypatek— w celach wspólnej pogadanki naukowej, i przeciw celowi podobnemu niebyśmy nie powiedzieli, gdyby właśnie w pogadankach tych, nie było emancypowanej przesady a pogadanki same, nie zakrawały na ową donkiszoteryją niewieścią.

Oto bowiem piękna i młoda uczestniczka grona zabiera głos dowodząc że, „poezyja nie jest wcale potrzebną". Na ten temat żywa naturalnie toczy się dyskusyja, i większość *młodych* emancypatek wykrzykuje: precz z poezyją! nie trzeba poezyi!!

Ale oto inny znów temat. „Żadne wpływy wychowawcze na wyrobienie charakteru człowieka nie działają a działają jedynie funkcyje (!!) jego własnego organizmu. (!!)" Tak znów dowodzi inna z dyskutujących; znów następuje ożywiona gawęda i znów nowy nonses dostaje się do rozpraw. Czy tylko nonsensów tych nie będzie czasem zawiele, i czy debaty w tym duchu prowadzone, nie wywiodą was piękne *pseudo* pozytywistki na błędne, bardzo błędne manowce? W istocie smutna to rzecz z ust młodej (18-stoletniej) panny posłyszeć że poezyja jest niepotrzebną, i kto wie czy nie przestraszyłby się emancypatki takiej, najzagorzalszy nawet negatywista, ale stokroć smutniejszym być może, gdy opinije podobne między młodą generacyją niewieścią szerzyć się będą, i dla tego też szanownemu gronu zapalonych główek, — taką udzielilibyśmy, tej treści (a wierzajcie nam panie) szczerze życzliwą radę.

W zasadzie, wspólna wymiana poważniejszych myśli jest dobrą, — jest naturalnie stokroć lepszą aniżeli czytanie francuzkich romansów—studyjowanie dzienników mód i t.p.; lecz jeżeli wasze rozprawy mają dążyć do osiągnięcia rzeczywistego umysłowego pożytku, w takim razie muszą one przybrać inny charakter, a przedwszystkiem muszą mieć stały i jasno określony kierunek.

Dla wprowadzenia zaś znów takiej pogawędkowej reformy, niezbędnym jest udział umysłów dojrzalszych, wytrawniejszych, i gruntowniej pojmujących naukę. — Nie obrazicie się panie zapewne, gdy powiemy otwarcie, że o podobne umysłowe żywioły wśród płci waszej nie jest *jeszcze* zbyt łatwo, a natomiast między warszawską płcią brzydką, nie byłoby zbyt trudno. Przypuśćcie więc do naukowych pogadanek waszych parę choćby indywiduów z płci tej ostatniej, a ręczymy że każda w ten sposób urozmaicona pogadanka, opłaci Wam się (naturalnie pod względem naukowym) sowicie strzegąc dyskutujące od niebezpiecznych często młodej myśli— wybryków.

Czy posłuchacie panie tej rady?

Szanowny Redaktorze!

W 50 Nr. Waszego pisma czytałam artykuł p. t. *Czy na czasie?* zachęcający kobiety do poświęcenia się nauce głuchoniemych, skutkiem założenia przy Warszawskim Instytucie głuchoniemych, seminaryjum nauczycieli i nauczycielek—na podstawie jakoby pożytecznej i nader korzystnej działalności tych paru kobiet, ktore praktykę nauczania w tym Instytucie odbyły.

Artykuł wskazuje ten rodzaj pracy, jako jeden z świeżo otwartych, uciążliwy, ale godny zalecenia w obec tak utrudnionego dostępu kobiet do pracy społecznej, a co więcej, zapewnić im mający utrzymanie, niezależność.

Kiedyż jeżeli nie teraz—kiedy tyle kobiet chce i potrzebuje pracować, zachęta taka byłaby, więcej na czasie, gdyby rzeczywiście prowadziła do celu, do którego większość pracownic dąży do zapewnienia niezależnego bytu.

Zajęcie się kształceniem głuchoniemych, jako podciągające się pod sztandar miłości bliźniego, ponętniejsze jest dla kobiet niż wiele innych.

Wymaga ono przy tem — prawie anielskiej cierpliwości, łagodności, wyrozumienia, poświęcenia. To są wyrazy ponętne dla młodych kobiet, szukających szerszego pola działalności, niż między czterema ścianami mieszkania. Któż, jeśli nie kobieta, zdolna do głębokiego współczucia dla biednych tych istot, któż, jeśli nie kobieta, zapragnie gorąco rozjaśnić ciemności otaczające duszę i umysł dziecka pogrążonego w wiecznej ciszy—nie umiejącego zdać sobie sprawy z najzwyczajniejszych zdarzeń codziennego życia. Myśl, że praca nasza może przynieść takie rezultaty, że niedołężny kaleka z naszą pomocą przestanie być ciężarem a może nawet stać się użytecznym człowiekiem społeczeństwa—przejmuje zapałem: dodaje energii. chęci do zwalczenia trudności, których nigdzie nie brak, którémi każdy zawód a szczególniej do jakiego kobiecie rękę wyciągnąć wolno, jest najeżony. Choćby z takiego tylko punktu zapatrując się na stanowisko nauczycielki głuchoniemych — już nie byłoby nic dziwnego gdyby wszystkie miejsca w seminaryjum zajęte były—a gdybyż jeszcze dodać zapewnienie korzyści materyjalnych. Tymczasem co do tego ostatniego punktu rzecz się ma inaczej nieco, i to mnie właśnie spowodowało do wypowiedzenia słów tych kilku.

Uważam sobie za obowiązek sprostować zdanie autora czy autorki artykułu: *Czy na czasie?* właśnie odnośnie do tych korzyści. Niech rzeczy się przedstawią jak są. Poco narażać na zawód kobiety, które i tak na wstę-

pie życia tyle zawodów i rozczarowań spotykają.

Sam Instytut zresztą, dając możność uzdolnienia się do pracy tego rodzaju, żadnemi świetnościami nie łudzi i przedstawia z całą sumiennością, potrzebę obliczenia swoich sił moralnych i materyjalnych. Moralnych bo w istocie jest to praca nie łatwa, — materyjalnych bo rok czasu, przeznaczony na zajęcia praktyczne naukowo-wychowawcze w Instytucie, wymaga pewnych zasobów, aby spędzenie go (zajęcia w Inst: zabierają najlepsze godziny od 8-ej do 12) nie sprawiało różnicy w rachunkach. Spojrzyjmyż teraz na owoce jakie rok przysposobienia— ambarasowne złożenie egzaminu—przynieść może. Najświetniejszem byłoby otrzymanie posady w Instytucie — ale Instytut jest jeden w kraju, posad kobiecych w nim niewiele — na awans zresztą można dziesiątkami lat czekać. Lekcyje prywatne jeśli ich profesorzy Instytutu nie zajmują, są nadzwyczaj rzadkie miejsca w domach prywatnyh jeszcze rzadsze.

Głuchoniemi przeważnie należą do klasy najbiedniejszej cisną się do Instytutu bo ich tam ubierają i uczą darmo— Instytut ich pomieścić nie może — założona więc filija miałaby uczniów—ale ktoby za nich płacił — z czegoby ich utrzymywała? Co zaś do małej cząstki głuchoniemych zamożniejszych rodziców, ci tylko w bardzo wyjątkowych razach zażądać mogą do domu nauczycielki i to właśnie będzie najczęściej w takich razach, które będą najniekorzystniejsze albo całkiem niemożebne dla tej ostatniej.

Instytut pobiera od pensyjonarza 150 rs. rocznie.

Którzyż więc rodzice choćby bardzo zamożni, nie oddadzą dziecka do zakładu, tak wielkiem zaufaniem ogółu się cieszącego,— a co najważniejsza, mniej niż za pół darmo dziecko ich u siebie umieszczającego. Jeśli się więc zdarzy zapotrzebowanie nauczycielki do domu, będzie to z bardzo oddalonej części Cesarstwa na jakich ekscentrycznych warunkach. Zawsze prawie będzie to dziecko, którego pobyt. w Instytucie skutkiem chorób jakich, anomalii ciała lub zmysłów, idyjotyzmu, spóźnionego wieku. jest niemożebnym lub bezpożytecznym. W takich tylko razach żądają nauczycielki. Ale w tych razach jest omyłka w wyrazie,—nie o nauczycielkę tu idzie, ale o siostrę miłosierdzia lub bonę—do czego nie koniecznie trzeba być wyzwoloną terminatorką z Instytutu.

Mówię to z własnego doświadczenia, gdyż do mnie, jako wykwalifikowanej przez Instytut, zgłaszano się z kilkoma żądaniami, ale tego rodzaju tylko. Czy można namawiać do tego zajęcia kobiety—które potrzebują pracować na utrzymanie a częstokroć nie siebie jednej? Niepodobna. Narażalibyśmy je na zawód a im się łudzić ani zawodzić nie wolno—powinny trzeźwo rozejrzeć się po świecie, tylko za taką pracą która im rzeczywiście dopomódz może.

Inaczej zupełnie rzecz się ma z temi, którym szczęśliwa świeci gwiazda, które chcą pracować aby stać się pożytecznemi ogółowi aby zapełnić życie czemś poważniejszem. Takim rok pobytu w Instytucie dostarczy wzorów godnych naśladowania, przyjrzą się tysiącznym sposobom wykładu aby go uczynić jaknajjaśniejszym, najprzystępniejszym, poznają jakiej to słodyczy, cierpliwości i łagodności wymaga postępowanie z dziećmi, a jeszcze z dziećmi kalekami, i z czcią pochylą czoło przed olbrzymią niezmordowaną pracą, dzięki której Instytut nasz zajął jedno z najpierwszych miejsc w rzędzie podobnych sobie zakładów.

Anatolija Górska.

Tak wygodnych klijentów jakich mają niektóre antykwarnie księgarskie, żadna zapewne z księgarń prawdziwych nie miała i mieć nie bedzie. Wiemy o jednym takiem składzie używanych książek, który wypożyczając dzieła szkolne uczniom gimnazyjalnym, bierze ni mniej ni więcej tylko 35 kop. od jednej książki na tydzień. Jest to więc tak wymowne wyzyskiwanie niedoświadczonej młodzieży, że wartoby doprawdy raz pomyśleć o położeniu nadużyciom podobnym stanowczej tamy. I niebyłoby tu nawet wielkich trudności. Którakolwiek bowiem z naszych księgarni *rzeczywistych* mogłaby u siebie zaprowadzić *abonament książek szkólnych*, na sumiennych i rzetelnych warunach, i tym sposobem nędzną ową spekulacyją antykwarni jeżeli nie zupełnie to w części przynajmniej opanować. Zresztą i sama księgarnia na przedsiębierstwie podobnem nie zły robiłaby interes, bo wielu bardzo uboższych uczniów, nie mogąc odrazu wszystkich książek nabyć na własność chętnie bardzo korzystałaby z sumiennego abonamentu. Doprawdy więc panowie księgarze, wartoby o tej kwestyi na seryjo pomyśleć.

Niedawno zmarł w Wilnie księgarz — wydawca *Adam Zawadzki* spadkobierca i przedstawiciel, znanej od bardzo dawna, i cenionej powszechnie firmy: „Józefa Zawadzkiego“. Kto na stanowisko wydawcy z szerszych cokolwiek zapatruje się punktów, ten przyznać musi że strata wydawcy takiego jakim był ś. p. Adam jest stratą ciężką i niełatwo nagrodzić się dającą. Zmarły bowiem był to właśnie jeden z tych przedsiębiorców jacy u nas na polu wydawniczym do białych kruków należą; bo przewodnią myślą jego całej trzydziestosześcioletniej działalności, było umiejętne połączenie interesu własnego, z rzeczywistą korzyścią czytającego ogółu; a dość przejrzeć długi szereg jego wydawniczych nakładów by się o tem namacalnie przekonać. Nie było tu na zaintrygowanie mas, obliczonych spekulacyjek wydawniczych, ale przeciwnie: tylko rzeczywistej wartości i rzetelnego pożytku — dzieła. Na wydawnictwach firmy. Zawadzkich świecą imiona mężów będących chlubą i ozdobą naszego piśmiennictwa. Ojciec był znanym jako wydawca dzieł obu Śniadeckich, Jundziłła, Rymkiewicza, Borowskiego i wielu innych, syn ś. p, Adam, dał poznać publiczności znakomite prace Jocherów, Balińskich, Kraszewskich, Chodźków i t. p. Taka więc i w tym kierunku prowadzona działalność wydawnicza. to praca prawdziwie ogólnego zakresu,—praca która dla ogółu, godnem poszanowania wspomnieniem. a dla wszystkich księgarzy-wydawców godnem naśladowania przykładem, na zawsze pozostaćby winna.

Już nieraz wspominaliśmy o tworzeniu się na prowincyi „kółek czytelniczych“. Kółka takie zakupujące sposobem składkowym książki i w tenże sam, prenumerujące pisma, mają podług nas nie małej doniosłości znaczenie, bo mogą one przyczynić się najskuteczniej do rozwoju czytelniczego ruchu. Ostatniemi czasy kółko podobne zawiązało się z inicyjatywy miejscowego aptekarza w miasteczku *Działoszycach*—stawiając jeden więcej dowód, że w najciaśniejszem nawet i w najodleglejszym zakątku, przy dobrej woli klas inteligentniejszych, życie umysłowe rozbudzić się i odświeżyć atmosferą duchową jest w stanie.

Nic nam większej przyjemności nie sprawia jak kiedy z cichych zaścianków prowincyi. dochodzi nas odgłos postępowego ruchu, i kiedy z tamtąd czerpać możemy materyjał do *śladów życia*. Oto jak donosiło jedno z pism prowincyjonalnych i jak wspominaliśmy już o tem pewien obywatel wiejski z Broniszewa, około Kielc, będąc sam uczniem b. Instytutu agronomicznego w Marymoncie, zakłada obecnie *szkołę ogrodniczą* w której oprócz nauki czytania, pisania i rachunków, ma być wykładaną nauka zakładania ogrodów. hodowania drzew owocowych, warzyw i kwiatów, z kursem dwuletnim. Przykład to godny naśladowania, ale oprócz samych wiadomości licznie zaznaczonych w pismach byłoby pożądanem aby podający fakty podobne, postarali się podać bliższe i szczegółowe określenia. Tak np. co się tyczy szkoły rzeczonej, wartoby podać do wiadomości publicznej szczegółowy program zakładu, niemniej koszt jego utrzymania, warunki utrzymania, przyjmowania uczniów i t. p. W takim bowiem razie, nie jeden z ludzi dobrej woli wiedząc już z góry jak się wziąść do rzeczy, tem chętniej i prędzej, pośpieszyłby tu może z inicyjatywą praktyczną, a taki bliższy *opis szkoły*, miałby wartość podwójną.

No i ktoby to pomyślał! Radom miasto jedno z większych, miasto gubernijalne i liczące kilkanaście tysięcy mieszkańców, nie miało jak dotychczas księgarni. Niktby może czemuś podobnemu nie zechciał wierzyć, a jednak o fakcie tym, któremu kiedyś dziwić się będzie tem bardziej nasza potomność,—donoszą najwyraźniej korespondencyje z owego obywającego się bez wszelkich druków i książek grodu. Na szczęście jednak, znalazł się nareszcie w tych czasach przedsiębierca w osobie panny Honoraty Rewolińskiej, która otworzywszy księgarnię, antykwarnię i skład materyjałów piśmiennych, zapowiada zarazem urządzenie czytelni publicznej. Fakt ten przeto ostatni smutne wrażenie odnośnie do umysłowego zacofania Radomia łagodzi już poniekąd, i łagodzi tem więcej, że rzutnym owym księgarzem bodaj czy nie pierwsza u nas *kobieta*.— Przykład bowiem ten może zrobić dobry początek, ukazując w praktyce jedno więcej pole działalności niewieściej.

ROZMAITOŚCI.

— Proces Arnima kosztował życie jednego człowieka. Służący hrabiego Harry Arnima, Otto Kuphal, otrzymał od swego pana poruczenie śpiesznie dostarczyć mu dokumenta, których hrabia potrzebował dla obrony swej podczas procesu. Uzyskawszy te dokumenta, wierny sługa udał się do Lübden, aby stamtąd koleją żelazną pojechać do Berlina. Tymczasem opóźnił się i pociąg pasażerski już odszedł z Lübden. Kuphal pojmując, że panu jego grozi niebezpieczeństwo, wskoczył na pociąg towarowy idący za pasażerskim, i tym sposobem niepostrzeżony dojechał do Königs-Wüsterhausen; tam jednakże lękając się odkrycia uznał za właściwsze zeskoczyć z pociągu, nim takowy zatrzymał się.— Na nieszczęście swe, uskutecznił to. Zawadziwszy się jedną z swych kieszeni o rączkę drzwi wagonowych, padł pod koła, skąd go podjęto strasznie pokaleczonego. Początkowo wzięto nieszczęśliwego za złodzieja, mającego okraść pociąg towarowy, lecz później, skoro zeznanie jego, iż jest służącym Arnima, stwierdzone zostało, znalezionemi przy nim papierami i sumą 200 talarów w gotówce, odesłano go do szpitala „Bethanii“ w Berlinie. Otto Kuphal miał 28 lat wieku; od dziesiątego roku wstąpił na służbę do rodziny Arnimów, i od tego czasu był, przez ciąg lat 19, wiernym sługą. Zgon Kuphala szczególniej zasmucił syna byłego ambasadora; wówczas, kiedy jego matka hrabina siedziała przy łożu cierpiącego, młody hrabia kilkakrotnie z rozpaczą zawołał: „Otto, nie porzucaj mnie!“ Skoro Kuphal zmarł, wtedy, z polecenia hrabiego Harry Arnima, w obecności jego i rodziny odprawione zostało nabożeństwo żałobne w kaplicy Bethanii, przy biciu w dzwony, poczem trumna, ozdobiona gałązkami palmy przeniesiona została do komnaty w domu Arnima, na placu Paryzkim, umyślnie w tym celu obitej czarnym kirem, gdzie pozostała dopóty, dopóki 16-go grudnia, wieczorem, zwłoki zmarłego, w obec siostry i narzeczonej Kuphala (wyszły już jego zapowiedzi i zamierzał ożenić się około Bożego Narodzenia), nie były przewiezione, stosownie do przedśmiertnego życzenia zmarłego, drogą żelazną, do miejsca rodzinnego.

* * *

— *Cudowne ocalenie.* Gdy statek „La Plata“ w dniu 29 z. m; zatonął na pełnem morzu, dwu ludzi z osady okrętowej, schroniło się na deskę pływającą na powierzchni morza i stanowiącą część wiązania masztowego. W tej pozycyi miotani na wszystkie strony falami, po samą szyję prawie zanurzeni w morzu, bez pożywienia, bez słodkiej wody do picia, przebyli cztery dni i trzy noce w strasznych mękach, w nieustannej walce o życie, aż dostrzegł ich szoner holenderski „Renklesoon“, i zabrawszy na swój pokład, udzielił pierwszego ratunku, a potem wysadził na ląd w Gibraltarze. Jest to prawie bezprzykładny wypadek w rocznikach marynarki, dowodzący nadzwyczajnej siły żywotnej rozbitków, podtrzymywanej chęcią ocalenia się; wszakże lekarze w Gibraltarze wątpią, aby wyczerpany ich organizm, mógł wrócić kiedykolwiek do dawnego stanu.

* * *

— Chińczycy idą obecnie za przykładem japończyków i posyłają swe dzieci na wychowanie do Ameryki i Europy. Przybyły dnia 21-go października do San-Francisko, parostatek „Japan“ przywiózł trzydziestu uczniów chińskich liczących od 10 do 14 lat wieku. W raz z niemi przybyli tam i dwaj komisarze chińscy, oraz jeden nauczyciel szkolny chiński, dla dozorowania i kierownictwa dzieci. Pierwszy z tych komisarzy Kwang-Ki-Chin, człowiek dobrze się przedstawiający, w wieku lat 35, zajmuje w Chinach w służbie rządowej dość ważne miejsce i zna dobrze język angielski. Ki-Han-He także jest wysokim dygnitarzem chińskim, a nauczyciel szkolny Liun-Il-Kong używa w Szanghai sławy znakomitego nauczyciela. Pierwszy z komisarzy oznajmił felijetoniście *San-Francisco-Bulletin*, że rząd chiński wybiera wysyłanych do Ameryki wychowańców z najlepszych szkół, z liczby pierwszych uczniów, i ma zamiar dać im gruntowne wykształcenie, nie inaczej wszakże, jak pod nadzorem chińskim. Wybór tych uczniów dokonywany jest jak najbezstronniej, a poprzedzany bywa surowym egzaminem. Obecnie, w stanie Connecticut znajduje się na wychowaniu ogółem 60 młodzieńców chińskich, którzy jednakże będą tam dalej kontynuowali i nauki chińskie. Po dziesięciotygodniowym wykładzie języka angielskiego, idzie przez ciąg dwóch tygodni, nauka chińskiego, „aby uczniowie postępowali za przykładem swych przodków i ściśle trzymali się przekonania, że nie masz lepszego kraju nad ojczysty.“

* * *

Z raportu jaki wielki wezyr złożył sułtanowi o obecnym stanie armii tureckiej i jej uzbrojeń pokazuje się, że siła wojsk na stopie pokoju wynosi 142,874 żołnierzy i oficerów. oraz 29,650 jazdy, która to siła może być w potrzebie podniesiona do 199,155 ludzi i 54,531 koni:—artyleryja ma 2,184 armat?! i 84 kartaczownic. Za armią polową stoi 500 do 600 t. redyfów (rezerwy), co razem uczyni około 800,000 regularnego wojska. Prowincyje azyjatyckie mają dostarczyć 50,000 wojsk regularnych, a Albanija znaczną liczbę strzelców celnych.

* * *

— Olbrzymi most, zawieszony na jeziorze Rolan, odległem o 6 mil angielskich od Baltimore, w Stanach Zjednoczonych, zerwał się w dniu 2 b. m. pod ciężarem dwóch pociągów. Wszystko zapadło się w przepaść. W odległości kilkuset yardów usłyszano straszliwy krzyk, który wydali pasażerowie obu pociągów, zapadający w otchłań. Liczba ofiar musi być bardzo znaczna, gdyż oba pociągi zapełnione były podróżnymi.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pni. *Chylin... w Kalwaryi.* Kalendarz powtórnie posyłamy, Przyjaciel dzieci zaprenumerowany zaraz w piewszych dniach Stycznia.

Pnu. *Horbacz... w Petersburgu.* Nr. 49, powieść Grochowe wianki, i Restauracyja posłay. Zapisaliśmy pana na listę prenumeratorów na r. 1875 i wyszłe dotąd Nr. 1 2 i 3 posyłamy.

Panu *Anton: Piottuch.* Kalendarz powtórnie posyłamy—i po raz treci powieść Wąwozy Kaudyńskie Żródło nilu wyczerpane, posyłamy za nie powieść w 2 tomach „Na Partykularzu.“

Księ: *Anas: Okrąglic... w Popowie.* Zapewniamy najuroczyściej że nie u nas pozostawiono tomy IV i V Encyklopedyi Kościelnej.

Pani *Jadwidze Syr... w Wajgowie.* Polecamy pani Literaturę polską Wasilewskiej lub „Rozrywki dla młodocianego wieku“ Pruszakowej — Może pani nabyć w księgarni Kowalewskiego Nowy świat N. 39

Ks. *Kaź... Norko we wsi Przyjaźń.* Kalendarz posyłamy powtórnie.

P. *J. Sniechow... w Wars.* Kartkę tytułową i spis rzeczy wkrótce dołączymy—Po dodatki brakujące racz się pan zgłosić do Redakcyi.

Panu *Tad... Pietk... w Słukszcie*— Bibliotekę Domową w krótce dalej posyłać będziemy — Opóźnienie z przyczyn od nas nie zależnych“ jak w każdym prawie numerze ogłaszamy o tem—

Panu *Zemet w Ekaterynosławiu.* Kalendarz posyłamy po raz drugi.

Panu *Krasnodęb... w Serocku.* Wszystkie trzy numery były w czasie właściwym posłane—reklamacyję sprawdzimy na poczcie.

Pani *Anto... Jokisz w Pokotyłowie.* Reklamowane numery (40, 41 i 42) posyłamy — Prosimy donieść jakich mianowicie nie otrzymała pani dodatków.

Panu *Fran... Lotuszyńskiewu w Lipsku.* Kalendarz powtórnie posyłamy.

Panu *Certowicz... w Karsku.* Nr. 4 i 7 z r. 1874 oraz kalendarz posyłamy.

Pani *Zuli z Lachowa.* Nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7 i 19 możemy posłać—należy się nam za nie kop. 80 z Biblioteki Domowej wyszło tomów 7 — za które należy się Rsr. 2 —Prosimy o adres.

P. *Tylman w Żninie w W. Księstwie Poznańskim* Kalendarz posyłamy. Ani listu ani 15 sgr. na książkę „dla Samouków“ nie odebraliśmy wcale. Prosimy o dokładny tytuł książki owej — Brakujące z r. z. dodatki skompletujemy i odeślemy panu.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.